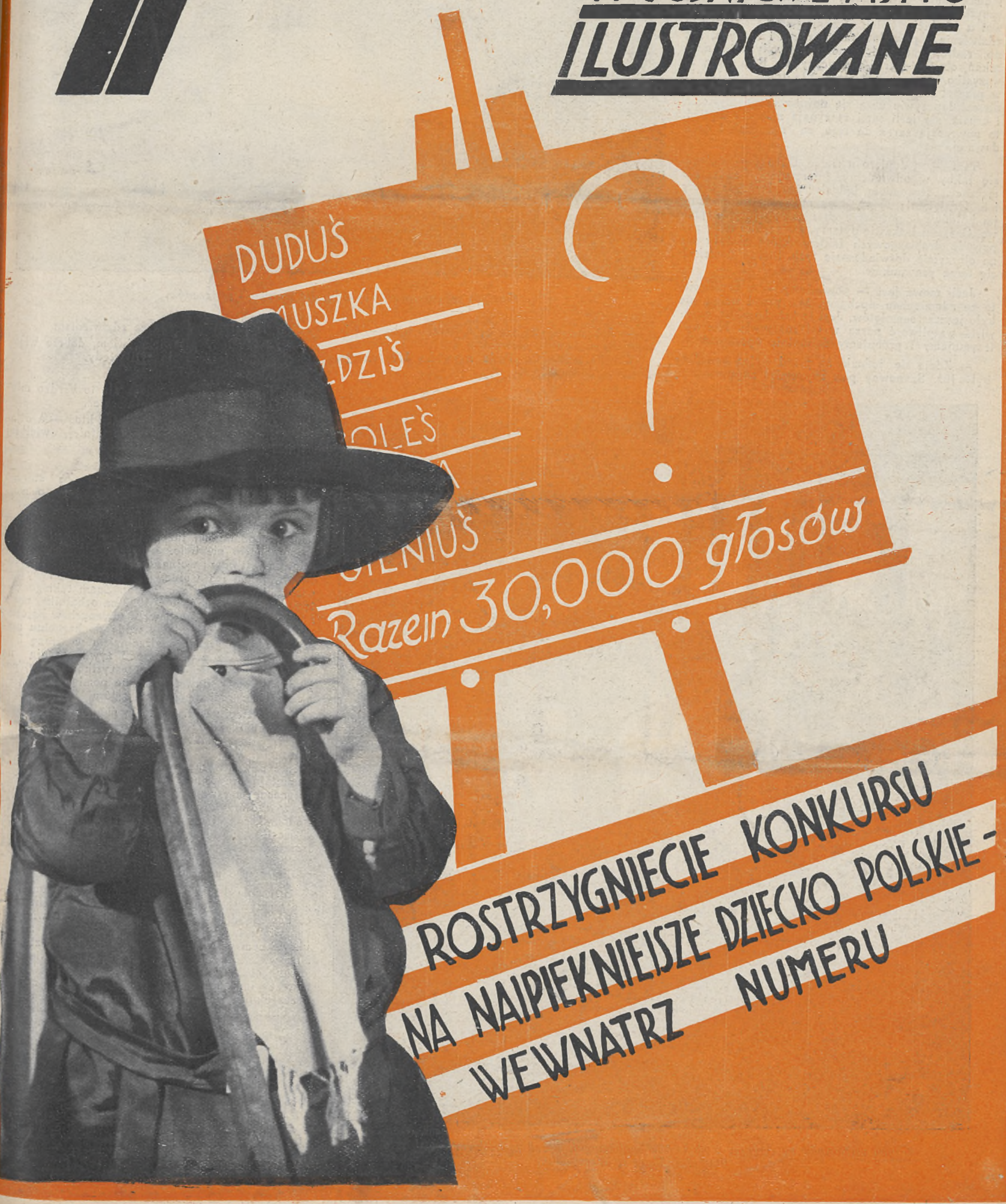
7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



(Photo-Plat)

W gościnie u weteranów



Gawęda wieczorna w przytułku dla starców - weteranów.

Chodzą, wsparci o laski, drobnemi sztywnemi kroczkami. Ich granatowe mundury i rogatywki, opatrzone w skromne gwiazdki podporucznikowskie, mają dostojeństwo jeneralskie. Wyblakłemi oczami potrafią patrzeć wciąż bystro i groźnie. Na czerstwych policzkach odbijają wewnętrzną pogodę ludzi, którzy spełnili swój życiowy obowiązek. Są jednak jakby zawstydzeni ogromem czci, z którą spoytkają się na ulicach, w domach, u obcych, nawet u wielkich ludzi. Starają się nieokazywać zdziwienia z powodów tak licznych i różnych, jak np. radjo, samochód, samolot, rozwody, brak mieszkań, obfitość partji politycznych.. Rozumieją to wszystko, co jest dzisiejsze, ale toną nieustannie w przeszłości. Z niezmierną ciekawością słuchają, niemal łapczywie uczą się nowoczesnego myślenia i czucia, ale jeśli sami zaczynają mówić i myśleć, to nawracają zaraz do tego, co rozumieli i czuli dawniej.

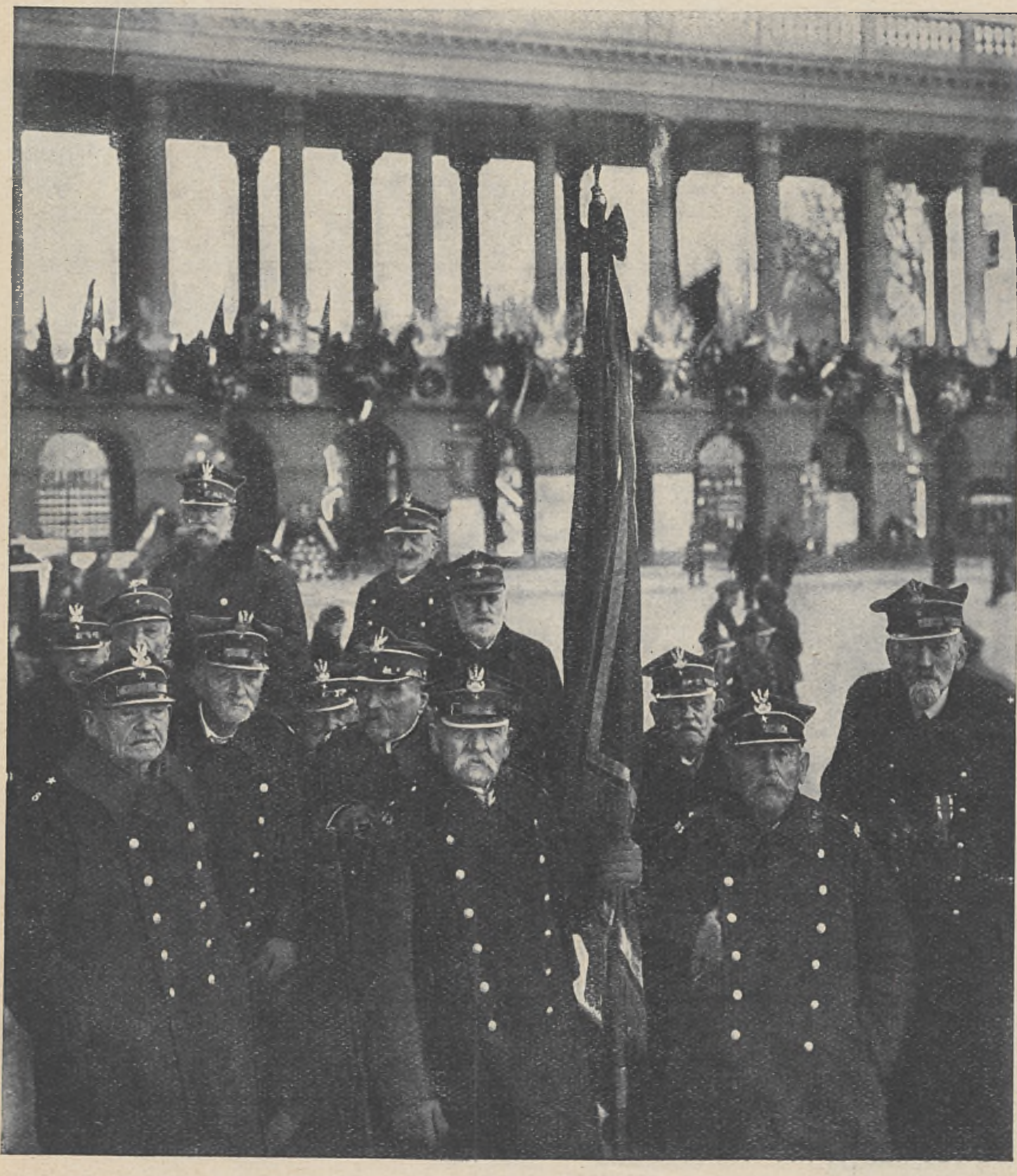
Tam — są dopiero u siebie. Do nas — wybrali się jakby w odwiedziny, interesujące, miłe, ale męczacc. Rozumieją jednak nas lepiej, niż my ich. Gdzietam! Mamy czas najwyżej na oddanie im hołdów — pośpiesznych i zamykających sprawę. Czasami łaskawie pytamy, ale szybko nuży nas powódź drobiazgowych faktów, które złożyły się na olbrzymie doświadczenie tych, którzy doczekali się teraz prawnuków.

Jeśli mowa jest — powiedzmy — o samolocie, to ze zdumieniem słuchamy, że... przed wojną nie było jeszcze samolotów. Jest to już dziesiąta, oczywista wątpliwość nasza w tej rozmowie. Nie wytrzymujemy i próbujemy delikatnie oponować:

— Zdaje się, jednak, że przed wojną samoloty były już. Szanowny pan zapomniał zapewne...

— Jak mówię, że nie było, to nie było — odpowiada stanowczo weteran.

Chwila milczenia. Pada nazwisko Włyńskiego, Bleriota, kilku innych.



Grupa weteranów na jednym z obchodów wojskowych przed pomnikiem Ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie.

Starzec patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Ależ, młody człowieku, wiem, dobrze wiem, ale ci lotnicy jeszcze nie żyli wtedy.

— Jakto?

— No tak! Czytałem, wiem, ale to bardzo młodzi... Ja sam miałem wtedy niecałe...

— Zaraz, proszę pana — wtrąca ktoś — a o jakiej wojnie pan myśli? o tej ostatniej, wielkiej wojnie?

Weteran oburza się.

— Ot — także — wymyśliliście! Ze starego chcecie zażartować! Ja mówię oczywiście o *wojnie tureckiej!*

Sprawa się wyjaśnia. Oczywiście, że podczas tamtej, zapomnianej już przez nas *wojny tureckiej* — samolotów nie było. Ale gdy dla nas wojna ostatnia jest *naszą* wojną, dla nich wojną jest przedewszystkiem ich wojna. Nie znaczy to, żeby nie wiedzieli dokładnie o ostatniej. Znam takiego weterana, który poszedł w r. 1920 na ochotnika, znam i takiego, który podczas walk ulicznych w Kijowie nosił z własnej inicjatywy wodę do karabinu maszynowego, rozgrzanego strzelaniem w stronę bolszewików. Ale przecież, choć żywo reagują na wszystko dzisiejsze — mają wszystko: ideały, poglądy, tęsknoty, nawet dyskusje pomiędzy sobą — na tematy z przed półwieku z górą.

O powstaniu w r. 1863 nie mówią zbyt chętnie i byle komu. Nie znoszą banalizowania tego tematu. Być może także, że warunki, zmuszające do milczenia w tych sprawach podczas długich lat zaborczych, stworzyły tę powściągliwość. Zresztą pamiętają fragmenty: zajęcie jakiegoś miasteczka, nocne marsze, obozowiska w lasach, wyprawy po żywność, utarczki z kozakami, sylwetki dowódców ,sceny i epizody poszczególnych potyczek. Czasem pamiętają nazwiska towarzyszów broni i maść konia, na którym jechał dowódca, a nie są w stanie odtworzyć planu bitwy, lub dać obraz ogólny swego udziału w desperackiej kampanji.

Strasznie kochają swój mundur i dumni są z otrzymywania poborów, zresztą głodowych. Nadto kochają dzieci i młode kobiety, swoje wnuczki. Na wielu mężczyzn dzisiejszych patrzą ze źle ukrywanem powątpiewaniem, tak samo zresztą, jak i na większość innych, nowych zjawisk... Nie opuszczają obchodów patrjotycznych, choć zdrowie nie zawsze im dopisuje. I czytają, pilnie czytają przez okulary drobnym petitem drukowane relacje z polskiego *dziś*, głównie te sejmowe i polityczne *dziś*.

Nie zawsze je rozumiejąc, powoli wymierają, spokojnie i z ulgą żegnając się z ostatnią swą rolą: romantycznego kraszenia żywym dokumentych czasów, które tak często dają pozory przeciwne naszym tradycjom.

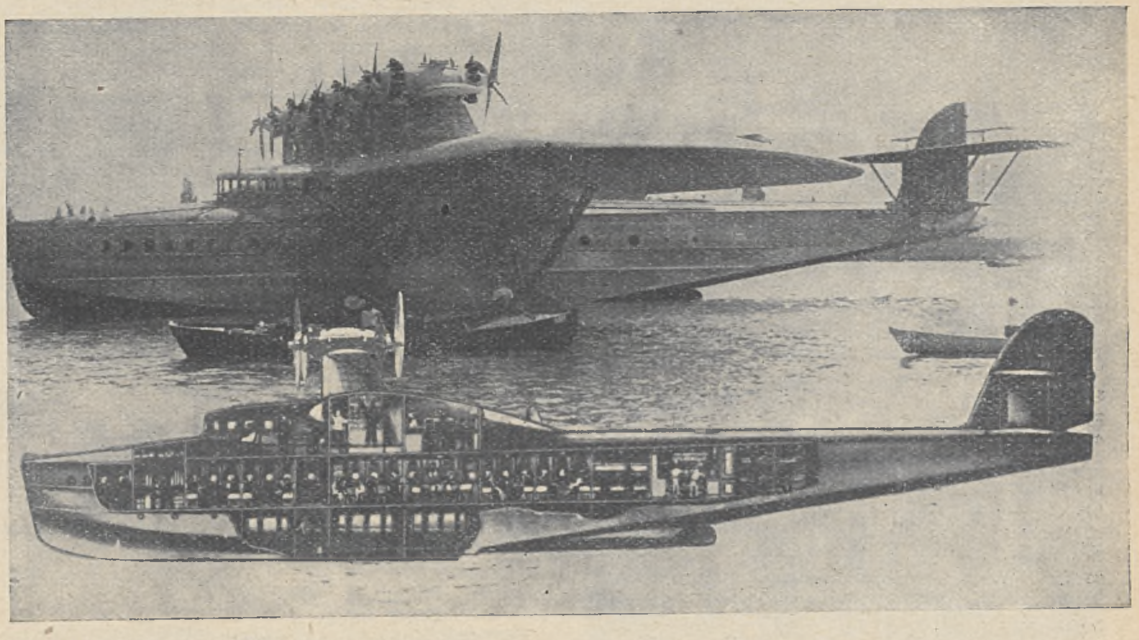
I dlatego w większości swojej — mają bezpośrednio, prostolinijnie odczute sympatje dla pierwszego Marszałka Polski.

Twos.

J. MEISSNER POR.-PILOT.

Czego nas uczą Anglja i Niemcy

Komunikacja lotnicza rozwija się w naszych oczach z tak zawrotną szybkością, że bliską jest chwila, kiedy wywalczy ona sobie pierwszeństwo i usunie w cień istniejące obecnie środki lokomocji i transportu. Koleje żelazne, statki żaglowe, a nawet najszybsze i zbytkownie urządzone parowce przejdą do historji, tak jak przeszły niepowrotnie konie dorożkarskie we wszystkich stolicach państw cywilizowanych. Przewrót ten nastąpi może nie tak szybko, nie za naszych dni, ale nastąpi niechybnie. Niepodobna bowiem porównać wysiłku i ogromu ludzkiej pracy przy budowie najkrótszej nawet linji kolejowej z pracą lotniczą dla zorganizowania komunikacji lotniczej między dwoma daleko od siebie leżącemi krajami. Od chwili, kiedy człowiekowi udało się przypiąć skrzydła i unieść się w przestworza — przestały istnieć dla niego przeszkody fizyczne hamujące jego ruchy na ziemi i morzu. Zaczyna on marzyć o zniesieniu granic, o zlaniu narodów, o przybliżeniu najodleglejszych punktów ,o zbadaniu najniedostępniejszych zakątków świata. A to wszystko dlatego, że bezkresna przestrzeń pozwala mu poruszać się dowolnie i nie wstrzymuje jego rozpędu ani górami niebotycznemi, ani pustynią bezwodną, ani puszczą dziewiczą, ani bezbrzeżnemi oceanami. Potęgę lotnictwa i olbrzymią korzyść płynącą z rozwoju komunikacji powietrznej zrozumiały przedewszystkiem te państwa, które, posiadając rozległe terytorja, rozwinięty przemysł, lub też odległe kolonje odczuwały najsilniej brak możności szybkiego porozumiewania się z ważnemi ośrodkami. Do takich państw uprzemysłowionych należą przedewszystkiem w Europie Anglja i Niemcy; dla nich podtrzymywanie stosunków handlowych z całym światem stanowi kwestję życia. Anglja prócz tego posiada niezliczone kolonje we wszystkich częściach świata i musi dbać o to, by bogactwa płynące na wzór odżywczej krwi z odległych dominjów — w jaknajkrótszym czasie dochodziły do europejskiego centrum i zasilały organizm wiecznie spragnionej stolicy. Obydwa te państwa pracują też usilnie nad zorganizowaniem komunikacji międzynarodowej, która ułatwi im eksport wyprodukowanych towarów. Inne państwa europejskie też opracowują plan komunikacji lotniczej; Holandja już od szeregu lat zorganizowała regularne połączenie lotnicze między Amsterdamem i kolonjami w Indjach. I Francja próbuje uczynić to samo z Madagaskarem i z innemi kolonjami w Afryce. Italja tworzy eskadry lotnicze dla inspekcji morskich wybrzeży, ale wszystkie te usiłowania i poczynania nie mają określonego celu i pozostają dotąd w fazie prób. Niemcy zaś i Anglja postawiły sobie za zadanie opanowanie powietrza i dążą wytrwale do tego. Smutne wypadki i katastrofy lotnicze, któremi kończyły się dotychczasowe próby przelotu z Europy do Ameryki ponad Oceanem Atlantyckim przy pomocy płatowców przekonały niemieckich i angielskich konstruktorów, że do dalekich oceanicznych podróży najlepiej nadają się sterowce. Obydwie podróże niemieckiego sterowca „Graf Zeppelin" zakończone tak pomyślnie pod względem punktualności i bezpieczeństwa przyczyniły się bardzo do wzmożenia tego poglądu. To też Anglja, nie chcąc pozostać w tyle, rozpoczęła budowę dwóch olbrzymich sterowców o powłoce sztywnej, z których jeden R. 101 dokonał już próbnego lotu. Trzeba przyznać, że lot ten wywołał narazie wielkie rozczarowanie i ożywione dyskusje, trwające dotychczas i poruszające opinję całego angielskiego społeczeństwa. Najwięksi zapaleńcy i propagatorzy komunikacji sterowcowej nie mogli oprzeć się pesymizmowi na widok kolosa powietrznego, który pochłonął olbrzymie sumy, a który zawiódł pokładane w nim nadzieje. Nie o ich zawód i rozgoryczenie chodzi narazie. Konstruktorzy angielscy nie opuszczają rąk — dla nich ten nieudany lot był tylko wskazówką, z której wyciągnęli odpowiednie wnioski i która im pozwoli usunąć braki w budowie sterowca. Dla nas zaś te olbrzymy, wylatujące z zakładów konstrukcyjnych Niemiec i Anglji, te sterowce okrążające świat dookoła, te olbrzymie wodne samoloty zaopatrzone w silniki o potędze zawrotnej — wszystko to powinno służyć jako sygnał do dalszej pracy nad rozwojem naszego rodzimego przemysłu, do zjednoczenia wysiłków na polu lotnictwa handlowego, które wkrótce stanie się nieodzownym warunkiem zdobycia bogactw i potęgi.



Olbrzymi wodnopłatowiec niemiecki „Do X".



Sterowiec angielski R. 101 odbywający swój pierwszy lot nad Londynem.



Ogromny wodno-samolot, przeznaczony do lotów transoceanicznych został skonstruowany w zakładach niemieckich Rohrbach'a.

Co słychać na świecie

Wielkie problemy międzynarodowe mają w sobie coś z piły, w dosłownem i przenośnem tego słowa znaczeniu: Już zdawało się, że problem został wyczerpany, sprawa załatwiona, a tu tymczasem znowu trzeba się nim zajmować. Taką piłą, wykonaną w Hadze trzeba nam jeszcze nadwyrężyć cierpliwość naszych czytelników.

Wypada dlatego, że dopiero dzisiaj znane są rezultaty konferencji haskiej i dopiero dzisiaj można ocenić ich doniosłość. Wprowadzenie w życie planu Young'a spłat reparacyjnych stało się faktem dokonanym i dokonanym ostatecznie, tak, że żaden rząd niemiecki nie będzie miał podstaw prawnych do poddawania w wątpliwość całości problemu odszkodowań, który stanowił główny przedmiot handlu politycznego ze strony Niemiec w okresie powojennym. Francja w wyniku podpisania układu zrezygnowała z okupacji trzeciej strefy nadreńskiej i zdecydowała się na przyśpieszenie reewakuacji na 5 lat przed terminem. przewidzianym w traktacie. Wzamian za to ustępstwo Francja uzyska uruchomienie pierwszego odcinka bezwarunkowych opłat reparacyjnych w kwocie 7 i pół miljardów franków w ten sposób, że Niemcy wypuszczą na rynek specjalne obligacje, a dla zapewnienia obligacjom tym pokupności Niemcy zobowiązały się do czasu ich pokrycia nie występować ze staraniem o żadną pożyczkę międzynarodową.

W wyniku umów haskich powstanie Bank międzynarodowy, który stanie się główną centralą finansową Europy, nie tylko ze względu na to, że przez jego kasę przepływać będą wszystkie sumy reparacyjne, ale także i dlatego, że Niemcy będą odtąd załatwiały wszystkie swe sprawy finansowe o charakterze międzynarodowym za pośrednictwem Banku. Ponieważ Francja weźmie wybitny udział w pracach Banku i wpływy jej na tym terenie będą bardzo duże, proporcjonalnie wzrośnie jej autorytet międzynarodowy w sprawach finansowych.

Ze sprawą reparacji związano w Hadze wszystkie sprawy, nie zlikwidowane jeszcze po wojnie, chcąc w ten sposób ostatecznie oczyścić atmosferę i zbilansować rachunki. Ponieważ zbilansowanie takie rachunków między państwami sprzymierzonemi a Niemcami nie może się nie odbić na zobowiązaniach innych państw, które walczyły po stronie Niemiec, trzeba było do udziału w ogólnym rozrachunku wciągnąć także Węgry, Austrję i Bułgarję. Z Austrją i Bułgarją sprawy zostały ostatecznie załatwione bez wielkiego trudu. Gorzej poszło z Węgrami, które nie myślą bynajmniej uznać w całej rozciągłości zobowiązań traktatu pokojowego w Trianon. Aby trudności węgierskie nie odwlekły chwili podpisania całości układów, zdecydowano tę jedną sprawę odstąpić do załatwienia komisji reparacyjnej.

Polska wyniosła także pokaźne rezultaty z Hagi. Rozrachunki między nią a Niemcami, uległy ostatecznemu uregulowaniu. Na podstawie wyrównania wzajemnych pretensji, Polska oswobodziła się od ciężaru długów, które na niej ciążyły w konsekwencji przejęcia dóbr państwowych byłych państw zaborczych oraz z innych tytułów. Są to sumy poważne. Dwa i pół miljarda marek niemieckich złotych, półtora miljarda koron i ćwierć miljarda franków spadło z hipoteki Polski, co znakomicie przyczyni się do ustalenia jej kredytu na rynkach finansowych. Ponadto, przy okazji, Polska przeprowadziła rozrachunki z Francją co do nieuregulowanych dotąd zobowiązań, ciążących na niej z tytułu kosztów stworzenia i utrzymania armji gen. Hallera, dostaw wojskowych w czasie wojny polsko-sowieckiej i wreszcie awansów, wypłacanych byłemu komitetowi narodowemu w Paryżu, dywizji syberyjskiej i dywizji gen. Żeligowskiego. Dług nasz wobec Francji był ostatnim długiem międzynarodowym nieskonsolidowanym przez Polskę.

W Londynie rozmowy wstępne na temat ograniczenia zbrojeń morskich, którym z najważniejszą uwagą przysłuchuje się cały świat, ujawniły przedewszystkiem różnice stanowisk pomiędzy poszczególnymi członkami konferencji. Okazało się, że podróż p. Mac Donalda do Ameryki nie dała w rezultacie żadnego nawet najogólniej naszkicowanego układu poza stwierdzeniem, że oba mocarstwa zgadzają się na zasadę równowagi sił morskich. Ale jak tę zasadę rozumieć? Ameryka potrzebuje wielkich jednostek bojowych, zdolnych do operacji na znacznych odległościach od swych baz macierzystych, Anglja — mniejszych, lekkich krążowników, ale zato znacznej ich ilości dla obrony swych rozległych dróg handlowych. St. Zjednoczone pragną osiągnąć redukcję floty angielskiej, aby nie obciążać swego budżetu budową nowych okrętów wojennych dla osiągnięcia ideału równości sił, Anglja znowu pragnie zachować stan dotychczasowy swej floty. Ani co do ogólnego tonażu, jako podstawy równości sił, ani co do liczby i wartości bojowej krążowników, ani co do kalibru armat nie doszło w czasie wizyty premjera angielskiego w Waszyngtonie do żadnego porozumienia — a przecież są to zasadnicze kwestje, jeśli sprawę ujmować konkretnie.

Podobnie i w stosunku do innych państw nie było dotąd żadnego uzgodnienia interesów. Japonja wystąpiła z nowem żądaniem podniesienia procentowego stosunku ustalonego w 1922 r. dla pancerników w proporcji 5:5:3 dla Anglji, Stanów Zjednoczonych i Japonji do proporcji 10:10:7. Japonja uważa ten stosunek za niezbędny dla siebie, jeśli ma zachować poczucie bezpieczeństwa. Ale ta propozycja miesza wszystkie szyki i przekreśla wszystkie wyliczenia angielsko-amerykańskie.

Loty

OR-OT.

Wiatr na kobzie gra od ucha,
Dmie śnieżyca,
Tańczy w polu zawierucha, —
Czarownica.
W białych kłębach coś się mieni.
Włosy z czarnych stu pierścieni,
Oczy z ławy i płomieni ,
Cudne lica.

Snuje wiedźma czary, snuje,
Złe jej moce,
Na śmierć ciebie zacałuje,
Załaskoce.
Patrz! gdzie chusta jej powiewa,
Martwe ptactwo spada z drzewa,
A w tumanach ona śpiewa
I chichoce.

Ziemia pęka mrozem zdjęta,
Gra żałosna,
Wiedźma tańczy uśmiechnięta,
Bezlitosna.
Z wilczem stadem, z wron orszakiem,
Grobowcowym płynie szlakiem,
Letargicznym siejąc makiem
Ziemi krosna.

W białem — martwem — zimnem morzu
Pieśń jej rzęży,
Wściekła staja gna w przestworzu
Wichrów — węży.
Wiedźma czycha na żyjące —
Aż z błękitu spojrzy lśniące
Bóstwo dobre, — złote słońce —
I zwycięży!





Lotnik włoski Dalmolin, który się odznaczył na zawodach o puhar Schneidera zginął przed kilku dniami w nurtach jeziora Garda.



Claude Farrere został wybrany prezesem związku byłych kombatantów na miejsce ustępującego pisarza francuskiego Roland Dorgeles.



Uczeń mistrza Paderewskiego, Aleksander Brachocki, laureat nagrody m. New Yorku na r. 1922 odbył tournee artystyczną po miastach Europy.



Superintendent zboru ewangelickiego Bursche święcił w tych dniach 25-lecie działalności pasterskiej.



Laureatem nagrody muzycznej na rok 1930 został jednogłośnie wybrany ceniony artysta i autor wybitnych dzieł Ludomir Różycki.



Zdążając na automobilowy raid gwiaździsty do Monte Carlo zatrzymał się w Warszawie p. Haberfeld z Oświęcimia.



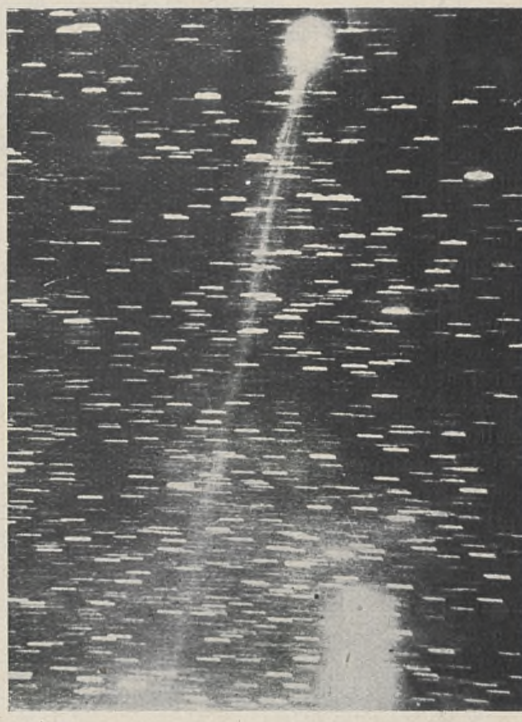
Konferencja londyńska stanowi obecnie „clou" zainteresowań politycznych. Na fotografji pp. Briand i Tardieu w chwili konferencji z japońskim delegatem, Wakatsuki.



Najnowszy wynalazek dla nurków, przeznaczony jako środek ratunkowy dla załóg statków podwodnych.



Przed paru tygodniami odbył się w Ameryce oryginalny konkurs, do którego kandydatki stanęły w strojach począwszy... od Ewy i ubiegały się o nagrodę nietylko piękności fizycznej, ale i doboru stroju. Laureatką została Miss Marjorie Hill z New Orleans.



Ciekawa fotografja, dokonana w obserwatorjum w Yerkes przedstawia kometę „Wilka". Długość ogona wynosi 1 miljon mil.



Fancuski pilot Doret pobił rekord szybkości, dokonując lotu z Bourget do Brukselli na monoplanie 500 K. P. z średnią szybkością 323 km 500 m na godzinę.



Wnuczka Washingtona, Mrs. Knox-Gore Keckler ofiarowała do muzeum niedawno znalezioną walizę z ciekawemi dokumentami bohatera amerykańskiego.



As naszej lekkoatletyki Petkiewicz stawał wreszcie do biegu w Stanach Zjednoczonych, bijąc 17-tu zawodników.

HENRYK GOŁOGÓRSKI.

PROROCTWA W SATYRZE

Wybuch wojny europejskiej, która wkrótce przerodziła się w wojnę światową, dla przeciętnego drobnomieszczanina francuskiego, niemieckiego lub angielskiego był do pewnego stopnia niespodzianką.

Czytając wprawdzie „morgenblatt" przy rannej kawie z bułkami, solidny i regularnie płacący podatki mieszczuch niemiecki zdawał sobie sprawę z tego, że nastroje polityczne Francji tchną pragnieniem odwetu za rok 1870/71. Doboduszny, a jednocześnie skąpy jak Harpagon, drobny „bourgeois" francuski wiedział z „journal'ów" o niepoczytalnej polityce cesarza Wilhelma II. Niemniej jednak stwierdzić należy, że przeciętny Europejczyk wcale nie przypuszczał, że kataklizm dziejowy wybuchnie w r. 1914.

Podobne postawienie sprawy nie wyda się już nikomu w obecnej dobie dziwacznem ani niemożliwem. Każdy średnio oczytany człowiek wie, że ideałem „bourgeois" francuskiego był zawsze spokojny, pełen wygody dobrobyt „rentjera". Kapitały francuskie w setkach miljonów, a potem i miljardach franków, płynęły wartkim strumieniem złota do Rosji, do tego raju kapitalistów franko-belgijskich, gdzie dywidenda za akcje naftowe czy kopalń uralskich nierzadko dochodziła do 25 a nawet 30% za rok operacyjny. Pożyczki rządu carskiego, słynne „premjówki" cieszyły się we Francji nadzwyczajnym, wprost nienormalnym popytem — jakże więc tedy przeciętny mieszczuch francuski mógł pragnąć wojny, a tembardziej jej się spodziewać? Toć gdyby ją był przewidział, gdyby wyczuł, że wybuchnie w roku 1914 — wyzbyłby się akcyj i papierów wartościowych rosyjskich, które dziś, spoczywając jako bezwartościowe śmiecie na dnie „safes'ów" obniżyły o dobre 25% pracowicie ciułany przez Francuzów majątek narodowy.

Z drugiej strony nie pragnął wojny, ani się jej spodziewał przedsiębiorczy, ruchliwy, dorabiający się na pokoju „bürger" niemiecki. Każdy bowiem miesiąc pracy przynosił kupcowi czy fabrykantowi niemieckiemu miljony!

Czy była to bawełna, sprowadzana z dalekich kolonji, czy kauczuk w niezliczonych transportach — wszystkie te skarby były zbyt cenne dla przedsiębiorczego niemieckiego fabrykanta, aby się lekkomyślnie narażał na ich ewentualną utratę.



Uwaga! Nie dotykać! Przy dotknięciu rozleci się. (Sinplicissimus r. 1906).

A jednak?...

Mimo wszelkie dowody, że wojna 1914 roku zaskoczyła wszystkich w nieoczekiwany sposób, to jednak, w samej rzeczy, nie była niespodzianką. Wybuch wojny europejskiej był do przewidzenia i mimo, że nie spodziewali się jej wszyscy bez wyjątku, gdyż w tym wypadku (zaryzykujmy ten paradoks) wojna nie byłaby wcale wybuchła — to jednak byli tacy, którzy tę wojnę przewidywali, i przepowiadali. Pomiędzy innymi prorokami byli ludzie, których nie cechowała bynajmniej praktyka polityczna, ani też jakaś siła tajemna i nadprzyrodzona, ludźmi tymi byli... humoryści.

A teraz, nim przejdziemy do przeglądu kilku starych, przedwojennych karykatur, opowiem ciekawą historję, która niejednemu z byłych uczestników rzezi europejskiej — przypomni groźne lata wojny.

W czasie ofensywy armji angielskiej pod Ypres, gdy huraganowy ogień artylerji brytyjskiej odciął odwrót cofającym się kolumnom niemieckim — dostał się do niewoli pewien oficer piechoty niemieckiej, będący „w cywilu" adwokatem. Wraz z innymi jeńcami odesłano go początkowo do Calais, a potem do obozu koncentracyjnego w Southampton. W bibljotece tego obozu była bardzo nikła ilość książek niemieckich, to też po przeczytaniu ich ów oficer wystawiony był na przeraźliwe nudy. W końcu, z braku zajęcia, zdecydował się przewertować stare roczniki znanego pisma humorystycznego, „Simplicissimusa".

I oto, oficer ten, będący, jak rzekliśmy, człowiekiem inteligentnym, który, jak miljony innych euroepjczyków miał wprawdzie przed wojną głębokie przeświadczenie, iż może dojść do zbrojnego konfliktu między potęgami europejskiemi, i łudził się jednocześnie, że wojna ta wybuchnie kiedyś tam, za „naszych wnuków", wyczytał na kartach znanego mu z przed wojny „Simplicissimusa" rzeczy, które go wprowadziły w głębokie zdumienie. Pod formą bowiem satyry — żartu taiła się smutna prawda, iż na kilka lat przed wojną dyplomacja europejska z najwyższych zamkniętych sfer gabinetowych, spodziewała się powikłań tak groźnych, iż mogły wywołać ogólną zawieruchę. Przenikliwość satyryka podniosła rąbek zasłony. Karykatura „Simpicissimusa" stała się niejako dokumentem historycznym, a dla tych wszystkich, co wówczas, w latach przedwojennych, umieliby czytać — groźnem memento na przysłość.

Oto jedna z tych kapitalnych, rzec można, proroczych karykatur, z teki słynnego artysty, Oskara Gulbranssona: Rok 1913: Na łożu boleści spoczywa stara schorowana Europa. Na ciele jej rozwinął się olbrzymi „wrzód bałkański" zagrażający jej życiu. Wytrawny lekarz dokonał zabiegu chirurgicznego, dzięki któremu życie pacjentki jest uratowane, niemniej jednak niebezpieczeństwo istnieje dalej. I dlatego lekarz uważa za swój obowiązek przestrzec chorą, mówiąc: „Chwilowo niebezpieczeństwo zostało zażegnane, jednakowoż musi pani być ostrożna, aby latem roku przyszłego nie nastąpiła recydywa"... Co najbardziej uderza w tej proroczej karykaturze, to fakt, że rysownik - artysta przewidział nawet porę roku, w której katastrofa europejska objawi się w całej swej grozie.

Ktokolwiek miałby jeszcze wątpliwości, że karykatura polityczna może być natchniona proroczym duchem, tego ostatecznie przekonają 3 inne rysunki, dające w sumie kapitalną przepowiednię wypadków serajewskich. W dziele prof. Cybichowskiego — „Prawo Międzynarodowe" czytamy następujący opis tych spraw: „Stosunki monarchji habsburskiej z Serbją były oddawna naprężone, gdyż na terytorjum serbskiem odbywała się agitacja, wymierzona przeciwko całości Austro - Węgier. Długo rząd tego państwa zwlekał z powzięciem decyzji stanowczej, godnej wielkiego mocarstwa w stosunku do państwa drobnego; zamach serajewski, będący zdaniem rządu austrjacko-węgierskiego wynikiem agitacji, prowadzonej w Serbji przeciw Austrji przy cichem poparciu władz miejscowych, przerwał gwałtownie okres wahania; rząd habsburski postanowił upokorzyć Serbję i zmusić ją do poddania się hegemonji austrjackiej. Jednakże równocześnie powstało niepokojące pytanie, co uczyni Rosja, rywalka Austro-Węgier a opiekunka Serbji. Należało się obawiać, że Rosja nie dopuści do utrwalenia się przewagi austrjacko - węgierskiej na Bałkanie, a wtedy konflikt mógł się stać ogólnoeuropejskim, bo obie



— Musi pani być ostrożna (mowa o Europie). Niebezpieczeństwo minęło, ale latem roku przyszłego może nastąpić recydywa... (Simplicissimus r. 1913).



Zjawa Ludwika XVI ukazuje się Mikołajowi II z ostrzeżeniem:

— Mikołaju! usuń się póki czas! Bo czeka cię mój koniec... („Simplicissimus" r. 1906).

strony miały potężnych sojuszników. Austrja była związana przymierzem z Niemcami i Włochami, Rosja — z Francją...

...W nocie z 23 lipca 1914 r. Austro - Węgry zażądały od Serbji wydania szeregu zarządzeń w sprawie ukarania morderców arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i ukrócenia agitcji antyaustrjackiej w Serbji. Rząd serbski zgodził się na postulaty austrjacko-węgierskie z wyjątkiem kilku, które uważał za niezgodne z pojęciem niepodległości. Warunki monarchji naddunajskiej były istotnie niezwykle ciężkie; żądano naprzykład udziału funkcjonarjuszów tego państwa w dochodzeniach na terytorjum serbskiem. Pod wpływem Rosji Serbja się na to nie zgodziła; Austro-Węgry, uważając odpowiedź Serbji za niedostateczną wydały jej wojnę deklaracją z 8 lipca 1914 r. Kości były rzucone, Rubikon przekroczony".



Wszyscy usiłują stworzyć erę pokoju...



...lecz oto znienacka Serb wyskakuje z nożem



...i zabija dzieło wielkich mocarstw... (Simplicissimus r. 1909).

Garść tych reminiscencyj historycznych, zaczerpnięta z dzieła znakomitego uczonego ułatwi czytelnikowi dokładne zrozumienie innej karykatury Gulbranssona, jaka w roku 1909 ukazała się w „Simpicissimusie". Karykatura powyższa tem więcej godna jest największego podziwu, że ukazała się na łamach „Simplicissimusa" już w roku 1909, a więc, wtedy, gdy o wypadkach serajewskich ani też o wojnie nikomu się nie śniło.

Weźmy znów inne „proroctwo" wyrażone w planszy Wilhelma Schultza z r. 1906, przedstawiającej zjawę z za grobu, która ukazuje się carowi Mikołajowi II. W zjawie tej nietrudno rozpoznać Ludwika XVI, którego, jak wiadomo, Wielka Rewolucja Francuska „skróciła o głowę". Karykatura przedstawia Ludwika XVI zwracającego się do cara Mikołaja II ze słowami: „Mikołaju! usuń się, póki czas! Bo czeka cię mój koniec..."

A wreszcie satyra, dotycząca trójprzymierza.

Głośne przed wojną trójprzymierze austrjacko-niemiecko-włoskie stało od dawna w opinjach politycznych Europy pod wielkim znakiem zapytania. Już Bismarck zresztą przestrzegał niepoczytalnego Wilhelma II przed tego rodzaju „mezaljansem", a czas tylko potwierdził słowa wielkiego polityka i znawcy dusz ludzkich.

Włochy, jak wiadomo, przystąpiły do przymierza austrcjacko-niemieckiego w roku 1883. Krok ten wywołany był antagonizmem francusko-włoskim o hegemonję na morzu Śródziemnem. Francja bowiem w roku 1881 zawładnęła Tunisem, który Włochy uważały za domenę swych wpływów. Mimo to jednak Bismarck, uważając Włochy za niepewnego sprzymierzeńca, przestrzegał oba dwory: Habsburski i Hohenzollernów, by nie łudziły się, iż na wypadek wojny przeciw Rosji pomoc Włoch może się stać wielce problematyczną.

Znakomitą ilustracją tego pesymizmu jest inna karykatura z „Simplicissimusa" z r. 1906, na której przedstawione jest trójprzymierze pod kloszem, opatrzonym napisem: „Uwaga! Nie dotykać! Przy dotknięciu rozleci się!"

•

Dziś, gdy tyle już lat dzieli nas od tych chwil dalekich, w których pisarze polityczni lub artyści, każdy na swój sposób, przestrzegali Europę przed krwawym potopem, gdy nad głowami naszemi przewaliła się burza dziejowa, a miljony ofiar legły na polach bitew, niechaj oczy nasze dają bezustanne baczenie tym wszystkim proroctwom, które i dziś możemy wyczytać. Wojna już była — zapewne — ale choć rany jeszcze nie zdołały się zabliźnić, nowe wojny mogą wybuchnąć. Nigdy może nawet pokój nie był tak niepewny, jak po tych krwawych zapasach. Śmiało to sobie wyznajmy. Patrzmy prawdzie w oczy, lecz i patrzmy w głąb dusz naszych z przekonaniem, iż błędy choćby najstraszliwsze, dadzą się naprawić. Trzeba je umieć dojrzeć i chcieć je usunąć. Nigdy nie jest zapóźno!

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU
„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

Dnia 25 stycznia b. r. odbyło się rozstrzygnięcie konkursu „Najpiękniejsze Dziecko Polskie". W wyniku głosowania nagrody uzyskały następujące dzieci:

Nagr. I. —	Nr. 211 —	głosów	4232
„ II. —	„ 156 —	„	4108
„ III. —	„ 233 —	„	4013
„ IV. —	„ 194 —	„	2167
„ V. —	„ 172 —	„	459
„ VI. —	„ 77 —	„	420
„ VII. —	„ 213 —	„	407
„ VIII. —	„ 10 —	„	325
„ IX. —	„ 208 —	„	319
„ X. —	„ 56 —	„	305
„ XI. —	„ 207 —	„	229
„ XII. —	„ 19 —	„	202

W wyniku losowania nagrody uzyskali następujący czytelnicy:

Nagr. 1. — adw. Szoskin, Warszawa, Marszałkowska 131.

Nagr. 2. — Helena Żelewska, Warszawa, Kowelska 4.

Nagr. 3 — Oskar Heuman, Kraków, Smoleńska 24.

Nagr. 4 — Helena Kraśniewska, Warszawa, Nowogrodzka 21

Nagr. 5 — Janina Karpińska, Lublin, „Corso".

Nagr. 6 — Władysław Florysiak, Warszawa, Bielańska 9.

Nagr. 7 — Marja Lipska, Warszawa, Bema 72.

Nagr. 8 — Halina Piechotowa, Lublin, Żmigrod 8.

Nagr. 9 — Anna Kowalska, Warszawa, Ordynacka 11.

Nagr. 10 — Gustaw Herszkowicz, Warszawa, Nalewki 13.

Nagr. 11 — Stanisław Wapiński, Warszawa, Marjenstadt 3.

Nagr. 12 — Klatt Joanna, Warszawa, Nowogrodzka 21.

Nagr. 13 — Bohdan Łastowski, Warszawa, Wilcza 57.

Nagr. 14 — Helena Kraśniewska, Warszawa, Nowogrodzka 21.

Nagr 15 — Sabina Kozłowska, Poznań, 27 Grudnia 19.

Nagr 16 — Alicja Massalska, Wilno, Podgórna 5.

Nagr. 17 — Józef Macygan, Zagnańsk, obok Kielc.

Nagr. 18 — Jan Skop, Wełnowiec, pow. Katowice.

Nagr 19 — Maurycy Potok, Olkusz, Rynek 91.

Nagr. 20 — Jan Mazurkiewicz, Kraków, Strzelecka 7.

Nagr. 21 — Aleksander Miller, Warszawa, Wileńska 9.

Nagr. 22 — Stefan Sochal, Lublin, Skośna 8.

Nagr. 23 — Stanisław Treszczyński, Warszawa, Ostroroga 21.

Nagr. 24 — Anna Hoffmanówna, Warszawa, Piękna 4.

Nagr. 25 — Bolesława Sławińska, Poznań, Mostowa 16.

Nagr. 26 — Rafał Loth, Warszawa, Leszno 29.

Nagr. 27 — Anna Hoszowska, Jasień, pow. Stanisławów.

Nagr. 28 — inż. Smoluchowski, Lublin, Szopena 11.

Nagr. 29 — Stanisława Karpińska, Warszawa, Wspólna 14.

W następnym numerze zostaną podane fotografje nagrodzonych dzieci.



W dniu 25 b. m. w lokalu redakcji „7 dni" stwierdzono w obecności notarjusza i przedstawiciela P. K. O., wynik głosowania na „Najpiękniejsze Dziecko Polskie".
fot. Sitkowski.

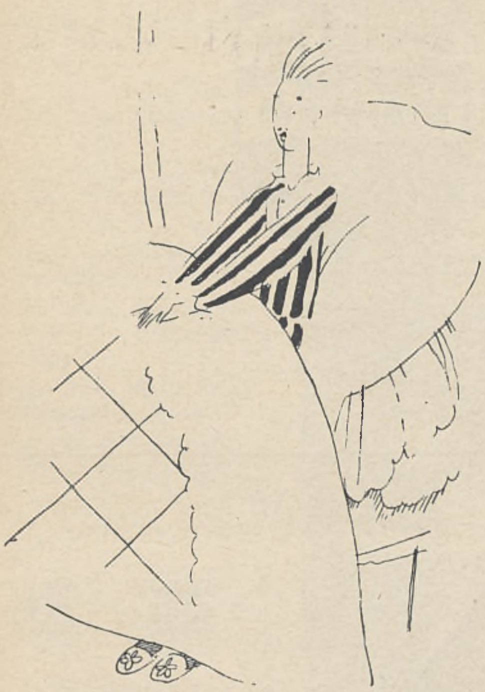
Żywot człowieka wytwornego w Polsce

(ilustrował T. Gronowski)

Przyzna pan niewzruszoną tej prawdy bezsporność:
Co jest cnota największa? Żywota wytworność.
Przyjm pan przeto mój przepis, bez krytyk a dziwot,
Jaki ma być człowieka wytwornego żywot.

* * *

Wstaję wcześnie. Zegarek wycykał dwunastą.
Przez jedwabne rolety brzęczy zcicha miasto,
Nalewa odwar szmerów, głosów, spieszeń, kroków—
Jak daleki samowar i na pokój i na mroku



Tak myślę. A już lokaj przynosi śniadanie,
Blado-złoty ananas moczony w szampanie,
I nastawia gramofon (charl'stona rytmika
Zastępuje trywialną zgiełkliwość budzika).
Masaż. C z a s a m i kąpiel. Jedwabna koszula,
Lakierki, (codzień nowe), frak, (tylko od Pool'a),
Jeszcze monokl — już wszystko. A teraz — robota.



Przed p a ł a c e m mój Rolls-Royce (100 HP) dygota,
Szoferowi sekretarz dał plan jazd, tem samem
Oszczędzam sobie rozmów niepotrzebnych z chamem.

Szybko składam wizyty, a względnie bilety,
Potem obiad, codzień w towarzystwie kobiety.
W poniedziałki Malicka, we wtorki Kamińska,
We środy Modzelewska, we czwartki Zimińska,
Co piątku Pogorzelska, w soboty Ordonka,
W niedzielę — jak się zdarzy. Czasem czyjaś żonka,
Czasem nowa znajomość, choć zwyczajnym splotem
Z nowemi spędzam wieczór. (Ze względu na potem...)
Po obiedzie — zależy, jak co. Bardzo lubię
Bridge'a w kółku znajomych, jeśli nie, to w klubie.
Grywamy wprawdzie tanio - sto złotych - nie więcej,

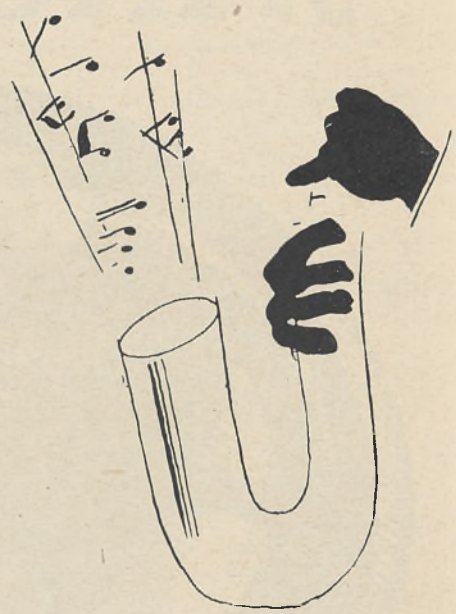


Toteż mało wygrywam — po parę tysięcy...
Po bridge'u — cóż? — opera, jeden akt — czasami
Dramat, chociaż mnie nudzi, mówiąc między nami,
Jestem człowiek współczesny, a teatr się przeżył —
Trudno żądać odemnie, bym na serjo wierzył
W śmierć aktorki a potem bym się z nią zadawał...
To przecie — nekrofilja — ha co? — dobry kawał?
Uśmiecham się. Półgłosem. W dowcipy nie wierzę.



Żaden dowcip nie wart jest, abym rżał, jak zwierzę.
Naogół nie uznaję humoru — to bywa,
Że się czasem dowcipów świadomie używa
Naprzykład, gdy się czasem chce uwieść po drodze
Podlotka — lecz ja panny niechętnie uwodzę.
Te fochy niepotrzebne, a płacze a krygi...
Mniejsza z tem. Gdy jest sezon, chodzę na wyścigi.
Trzymam parę koników — Menzalaric — Forward,
Jeszcze dwa - trzy - nie więcej, bo i co nasz tor wart?
To wina naszej trawy — w Epsom oczywista

Trawnik na torze liczy lat równiutko trzysta,
Ma pedigrée - i słusznie - koń, trawnik czy hrabia
Bez rasy tylko dużo blamażu narabia.
Czy teatr, czy wyścigi — wieczór w każdym razie
Zaczynam od kolacji — zazwyczaj w Oazie.
Chodzę tam już z nawyku, chociaż jestem zdania,
Że kuchnia jest za skromna i trochę za tania.
Kolacja — mon Dieu — homar, troszeczkę kawioru—



Ostrygi — jakiś kapłon — a potem do baru
Na górę — tam muzyka — ten skrzypek Rafałek
Gra zaraz „Ałławerdy" — to jest m ó j kawałek.
Tak do rana. Tańczymy — oberki, charl'stony.
Moja marka: Mumm cordon vert — jestem zmęczony.
Chcę iść. Nie chcą mnie puścić. Aż gdy się wymigam,
Wracam rano i w domu zwykle jeszcze...



Jak pan widzi, rzecz cała prosto się układa.
No tak — pieniędzy trzeba. Lecz na to jest rada.
Rób pan to, co ja robię — to jasne, jak szkło —
Chcesz żyć, jak ja wytwornie - pisz dla Qui Pro Quo?!

MARJAN HEMAR
znany ironista

Na chiński sposób...

(Korespondencja własna z Paryża).

Czy chcecie pójść dziś ze mną na chińską kolację?... Wybierzemy się do Shanghaju! Wcale nie potrzebujemy nigdzie daleko podróżować. Znam taką małą uliczkę w Quartier Latin, gdzie jest Shanghaj — chińska restauracja.

A może wolicie do Pekinu?... Tu, w tej najbardziej chińskiej i japońskiej dzielnicy Paryża odległości są krótkie — minjaturowe; z Pekinu do Shanghaju jest tylko jeden krok; wystarczy przejść z jednej strony ulicy na drugą i o kilka kamienic posunąć się wyżej, aby się udać z jednego lokalu do drugiego.

Ale wierzcie mi — Shanghaj jest lepszy i sympatyczniejszy. Pekin — to Chiny wygłodniałe: zjada się szybko, co na talerzu, i ustępuje się miejsca drugim. A my nie chcemy tak. My chcemy solennie zasiąść do stołu i każde danie nieść wolno do ust i smakować długo i rozpustnie...

Shanghaj, o Shanghaj! Niech będą pozdrowione bogi, które mnie w twoje skierowały progi. Niejeden raz ocierałem się o twoje płonące, kotarą zapuszczone szyby, aż wreszcie zstąpiła na mnie łaska, a wraz z nią wszystkie zapachy dalekiego Wschodu.

*

Shanghaj jest restauracją zamożnych studentów chińskich i japońskich, ale wcale nie droższy od innych. Jest wygodny, przytulny, miły i wesoły.

Za jednego franka na osobę, doliczanego dodatkowo do rachunku, zajmuje się miejsce w niedużym salonie obok, który jest drugą salą jadalną, bardziej intymną i ozdobioną w słowa magiczne i legendarne smoki na ścianach.

Co za pole do odkryć i obserwacji! Choćby taki jadłospis zawierający ogromną moc potraw, których egzotyczne nazwy wypisane są miniaturowemi czcionkami. Każde danie posiada swój numer i jest przynoszone razem z małemi, głębokiemi miseczkami do ryżu i jeszcze mniejszemi filiżankami do ostrej, niesłodzonej herbaty, której duży, porcelanowy sagan stoi już na stole. Z enigmatycznym uśmiechem chiński garson w bieli podaje wam dwie długie i czarne pałeczki. Gdyby nie były tak bardzo cienkie, możnaby je przyrównać do pałeczki dyrygenta orkiestry.

Ale jeść po chińsku przy pomocy pałeczek jest swojego rodzaju sztuką. Trzeba pewnej wirtuozerji, by zgrabnie i elegancko nieść do ust chińskie potrawy o gorzko-migdałowym smaku i polegające na dziwnej mieszaninie mięsa, jarzyn i ryżu zakropionego czarnym sosem. Nóż ukazuje się dopiero przy deserze, do owoców. Przedtem jest niepotrzebny, gdyż mięso pokrajane jest na drobne kawałeczki i schowane wśród jarzyn najróżnorodniejszych.

Trzeba się jednak nauczyć operowania pałeczkami. Wsuwa się je między palec duży i wskazujący i przytrzymuje kciukiem. Wprawa przychodzi w miarę jedzenia. Ale u debjutantów, u Europejczyków - amatorów, przegub ręki męczy się szybko od nabierania potrawy w ten sposób. Niema wtedy innej rady, jak zażądać od garsona widelca i noża, które zostaną wam podane z lekkim, ledwie widocznym uśmiechem politowania.

Dobry ton przy stole chińskim jest nieco inny niż w Europie. Przyjęte jest sięgnąć na prawo i na lewo do dań sąsiadów, albo jeść razem z jednego wspólnego półmiska na sposób żołnierski. Z wyglądu, a także ze smaku dla niewyrobionego podniebienia, wszystkie dania są do siebie podobne, za wyjątkiem ryb, krabów, ślimaków i t. p.

A teraz spójrzmy na naszych sąsiadów...

Chińczycy, zarówno jak Japończycy i Annamici są tu gośćmi prawie wyłącznymi. Są to ludzie o galanterji niezrównanej. Wystarczy o cośkolwiek zapytać lub poprosić, aby mieć dowody ich wyszukanej grzeczności. W sposób ujmujący pomogą wam, naprawią jakąś gafę, przestrzegą zręcznie przed popełnieniem łatwej u nowicjusza niezręczności.

Przy wspólnym stole nawiązuje się łatwo rozmowa. Dajmy jednak spokój polityce. Dowiedzmy się raczej, jaka jest opinja tych „żółtych djabłów" o... kobiecie.

Podaję do ogólnej wiadomośni, na podstawie tego, co mi opowiedziano, że Chińczycy i Japończycy są wzorowymi, idealnymi i posłusznymi mężami, niestety niedocenionymi przez kobiety ich krajów.

Kobiety żółte rzadko wychodzą z domu; pozostają najczęściej u siebie, aby nic nie robić, przynajmniej w bogatych rodzinach. Mężowie boją się swych żon, które mają pełną władzę nad ogniskiem domowem.

Dowiaduję się o pewnej, nienowej już legendzie, która w sposób typowy przedstawiać ma to jarzmo, pod jakiem żyją mężowie w państwie „Żółtego Smoka" i „Kwitnącej Wiśni".

Kilku mężów, dla których prawowite ich małżonki były wiecznym postrachem, zgromadziło się w świątyni, by prosić Buddę o udzielenie im na przyszłość większej swobody, odwagi i niezależności.

Zatopiwszy się głęboko w żarliwych modlitwach, nie spostrzegli się, że godzina ich powrotu do domu dawno już minęła. Z tego pogrążenia się w świecie niebiańskiej szczęśliwości wyrwał ich dopiero widok wkraczających do świątyni żon, które ich szukały. Bojąc się tych gromów, jakie miały spaść na ich nieszczęsne głowy, ukryli się coprędzej w cieniu kolumnady. Jeden z nich tylko nie zdążył już uciec i pozostał nieruchomy, krzyżem leżąc na ziemi.

Kobiety odeszły. Po kolei, bojaźliwie, skradając się jeden za drugim, wystraszeni mężowie wysunęli się z ukrycia i podeszli do tego, który jeden jedyny miał odwagę pozostać na miejscu. Zaczęli rozpływać się w pochwałach dla jego bohaterskiego wytrwania:

— Co za brawura! — mówi jeden z nich.

— Jak potrafiłeś to zrobić? Co za odwaga, — mówi drugi.

— Ach, gdybyśmy wszyscy byli tak silni, jak ty — dodaje trzeci, klepiąc leżącego po ramieniu — wyjaw nam twój sekret.

Ale ten, do którego te pochwały były skierowane, nie mówił nic i leżał dalej nieruchomy. Zaniepokojeni towarzysze jego podeszli bliżej, aby go podnieść, i dopiero wtedy spostrzegli się, że umarł... ze strachu.

Historja nader smutna, która ukazuje nam mężów chińskich, jako męczenników. Niestety, brak było na miejscu winowajczyni, tej drobnej, ułomnej, a drapieżnej Chinki, by sprawdzić wiarogodność tego opowiadania.

*

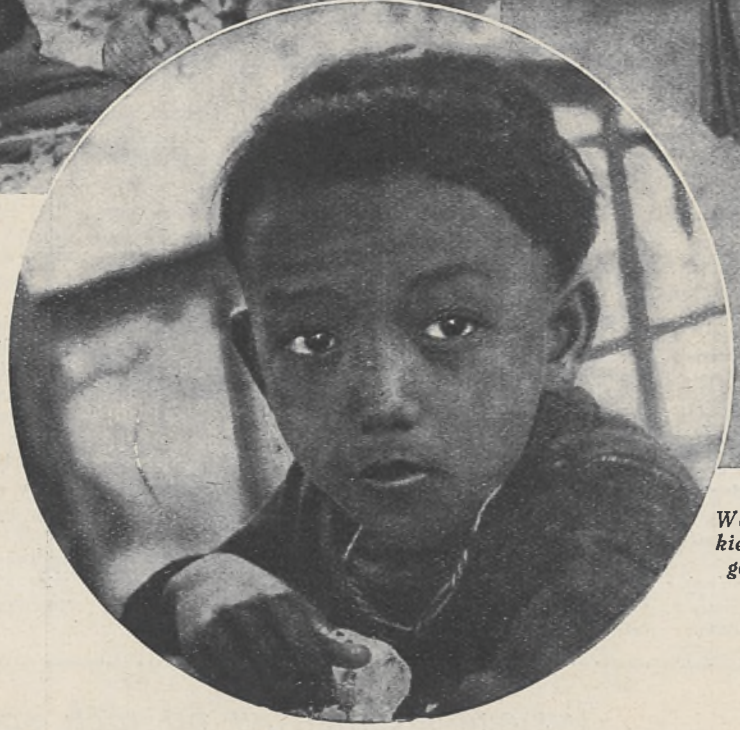
Podczas gdy snują się inne jeszcze opowieści, zbyt już nieprzywoite, by można je tu powtórzyć, garson czuwa nad nami troskliwie. Uprzątnie skrzętnie stół, przyniesie kawę i papierosy, otworzy wentylator i pozwoli sobie zamienić kilka słów z wami. Jeżeli wam nie śpieszno opuszczać ten lokal, mimo późnej godziny, jeżeli, czując się tu dobrze, zaczniecie nieskończone rozprawy, z łokciami na obrusie, nie będzie się krzywił ani przesuwał sąsiedniemi krzesłami, by wam dać znak, że trzeba iść. Z melancholijnym uśmiechem, który nie schodzi z jego ust, będzie do waszych usług do ostatniej chwili.

A gdy nakoniec, opuszczając ten przemiły lokal, rzucicie jeszcze wzrokiem za siebie, odkrywacie w witrynie ostatni dziw tego wieczoru: malutkie akwarjum, w którem pływają cudowne chińskie rybki złociste i różowe, wywijające wdzięcznie szerokimi ogonami.

Kazimierz Kukucz.







Wojtek i Bartek z łowickiego. Murzynek z Konga. Dziecko z Birmanji.

Dzieci całego świata







Dzieci z poł. Indji. Eurazja — „pionierka“ sowiecka z azjatą. Dziewczynka z półn. Indji.

Świat dziecięcy, to świat dziwnie piękny i dziwnie odrębny. I, powiedziałbym szczerze, dla nas, zagubionych w zawrotnym rytmie codziennej szarpaniny, codziennej walki o byt i codziennej troski, jakiś dziwnie daleki i... bardzo, bardzo czysty. Te jasne i ciemne główki, te jasne i ciemne oczęta, pełne figlarnej radości lub szybko przemijającego smutku, te drobne, słabiutkie rączki i nóżki — budzą w nas, ludziach twardych i zahartowanych, rzadko nam dostępne uczucie tkliwości i może także tajonej tęsknoty za życiem cichem i czystem.

Niedawno odbyła się na łamach naszego pisma jedyna w swoim rodzaju rewja pięknych dzieci polskich. Z każdego numeru patrzyły na nas jasne, czyste twarzyczki, uśmiechały się świeże wargi i ciekawie spoglądały przezrocze oczęta. Radował nas ten „konkurs“ zupełnie nie po „dziennikarsku“ i raduje jeszcze. To też dziś, pisząc ten „artykuł“, piszę go także dla „naszych dzieci“, bowiem pisać będę o różnych, różnych dzieciach. Wiecie? I o takich, które mają czarną jak heban skórę i błyszczące, ciekawe oczęta, i o takich, które urodzone pod bladem słońcem dalekiej północy mają śliczne, duże, niebieskie oczy i jasne jak len włosy, i o żółtych dzieciach Chińczyków, i o porcelanowych laleczkach japońskich, i o takich dziwnych dzieciach, które mieszkają w niebosiężnych górach Himalajów, a w długich włosach noszą zawsze kwiaty, i o innych jeszcze, bardzo biednych małych z za sowieckiej granicy, które są bardzo nieszczęśliwe, gdyż stą-rzy, łupi odebrali im matki i ojców, a dali zimne przytułki i bezlitosną ulicę.

Posłuchajcie więc, jak to jest na szerokim świecie...

Mój srogi władca, pan redaktor tego tygodnika, bardzo także lubi dzieci, i dlatego przyniósł mi wiele różnych fotografji, a na tych fotografjach widzę same tylko dzieci.

— Proszę napisać co pan o nich wie — powiada — chcemy to dać w najbliższym numerze.—

Więc siadam i napiszę, lecz nie moją jest winą, jeśli nie wszystko, co tu napiszę, będzie wesołe.

•

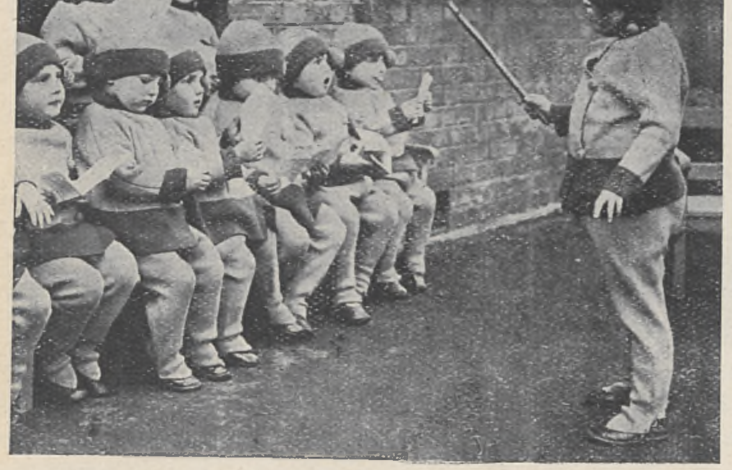
Ale na początek...patrzcie! Oto przedstawiciel świata dziecięcego zarazem poważny i wesoły. Radosny nawet, bo wzbudzi uśmiech na twarzy każdego. Ten „bąk“ patrzy przecież na Was zupełnie, jak dojrzały mężczyzna, i pali (tak: pali) potężne, grube cygaro. Jest, zdaje się, zupełnie zadowolony i z siebie i z ludzi. Cygaro mu smakuje. Bo co kraj to — obyczaj. A obyczaj jest taki, że dzieci burmańskie palą cygara.

A tu macie zgrabne, nagie murzyniątko, zrodzone pod palącem słońcem Afryki, gdzieś może koło Timbuktu, czy na obszarach Konga lub Angolji. Ma dziwaczne ozdoby na szyi i piersiach, wyraz twarzy rozbrajająco naiwny, i nie domyśla się jeszcze, jaki los je czeka. Bo dzieci Afryki nie są naogół szczęśliwe. Wprawdzie są takie, które mają nawet zabawki, ale olbrzymia większość bardzo szybko i bardzo nędznie przeżywa swe dzieciństwo i rychło staje do ciężkiej, niewolniczej pracy. Małemu murzyniątku dotąd jest dobrze, póki je matka na swych plecach nieodstępnie nosi i póki w małych jego rączkach nie zagrają prądy jakiej takiej siły. A skoro tylko pojawią się oznaki tej siły, malec odchodzi precz od matki, i wędruje po zarobek, który zazwyczaj zabiera ojciec, bezwzględny i samowładny pan rodziny, na którego dostatek i lenistwo pracować muszą żony i dzieci. To też już ośmioletni chłopcy biorą udział w „karawanach“ ludzi białych, dźwigają ciężary, szybko uczą się chytrości i nienawiści. Nie lepszym jest także los małych dziewczynek. Muszą one pracować w polu, na plantacjach, pomagać w domu, a skoro tylko dojrzeją (12—15 lat) sprzedaje je ojciec komu chce na żonę, na nową pracę i poniewierkę. Dzieciństwo mija więc jak sen, Kończy się niemal równocześnie z tą chwilą, w której matka zdejmuje dziecko z jego bezpiecznego miejsca na plecach.

I w olbrzymich Chinach noszą dzieci na plecach, ale tam los dzieci jest już znacznie lepszy. Dziecko ma opiekę. Troszczy się o nie nietylko matka, ale i starsze rodzeństwo. Nierzadko starsza siostrzyczka nosi na plecach młodszą i dba, żeby nie była głodna. Taki przedstawiciel dziecięcego świata chińskiego, którego tu macie na fotografji, ubrany w gruby, ciężki tułup, patrzy na nas bar-

(Dokończenie na str. 15)





W kraju, gdzie dbają o dzieci — w Anglji, radośnie nawet wyglądają sieroty. Fotografja z jednego z przytułków londyńskich.





W kraju, gdzie kwitną, rzekomo, wszystkie wolności — w Sowietach, dziecko bierze udział w życiu politycznem, ale o pustym żołądku.



Chłopiec z półn, Chin. M...ek z Sudanu. Dziecko burmańskie.

Ostatnie premjery



P. Ćwiklińska stwarza mistrzowską kreację „stuprocentowej kobiety" w komedji „Bal w obłokach".

Ktoby to pomyślał... P. Tadeusz Frenkiel (syn) udziela wskazówek reżyserskich swemu ojcu — mistrzowi Mieczysławowi Frenklowi, który słucha uważnie. P. Gellówna — znacznie mniej...





Pp. Jarszewski i Paliński, jako dygnitarze dworscy w „Księciu-małżonku". (Fot. J. Malarski).

Ponieważ znajdujemy się właśnie w okresie balowania, pokazano nam więc w teatrze Narodowym „Bal w obłokach", St. Miłaszewskiego. Wbrew pozorom, komedja ta nie ma nic wspólnego z filmem „Kobieta na księżycu", pomimo, że pewna noc księżycowa jest tu brzemienna w skutki: lekkoduch postanawia ożenić się z wiejskiem dziewczęciem „z buzią, jak malina", kokietka — wyjść za hreczkosieja „w sile wieku"... Zostaje na koszu... tylko poczciwe chłopisko, niemające żadnych grzechów na sumieniu... Wszystko to opisano pięknym wierszem, podano w ślicznych dekoracjach Drabika i znakomitej grze pp. Ćwiklińskiej, Gorczyńskiej i Węgrzyna.

*

W teatrze Letnim postanowiono wznowić „Księcia-małżonka" L. Xanrofa i J. Chancela, granego już przed 20 laty, czyli wtedy, kiedy jeszcze p. Tadeusz Frenkiel nie mógł tej komedji reżyserować. Czy był to wystarczający powód dla wznowienia, o tem niech decyduje opinja publiczna, my zaś tylko stwierdzimy, że z prawdziwą przyjemnością i zachwytem przyglądaliśmy się mistrzowskiemu kunsztowi aktorskiemu p. Mieczysława Frenkla, czarującym toaletom p. Majdrowiczówny, (której wartość, jako modelki z magazynu mód powinna być oceniana na wagę złota), urodzie p. Ankwiczówny, mundurowi p. Łuszczewskiego oraz dekoracjom p. Aleksandrowicza... I życzymy każdemu, aby miał taką ciocię (i nie-ciocię), jak p. Gellówna.

*

„Rywale" brzmi tytuł sztuki M. Andersona i L. Stallingsa, wystawionej w teatrze Polskim. Na scenie — 20 wojaków i... jedna kobieta, ucieleśniana przez p. Jarkowską, osóbkę malutką, lecz artystkę dużej miary. Bardzo mocno nakreśliła oryginalną postać kochanki wszystkich „żołnierzy nieznanych" i niepoprawnej fetyszystki munduru. Pp. Junosza-Stępowski i Samborski rywalizują tu nietylko o względy owej... kuzynki miłosierdzia (bo przecież nie siostry), ale i o prymat w arcydoskonałości aktorskiej. Publiczność była temi szlachetnemi zapasami olśniona i przyznała palmę pierwszeństwa — ...obu tym wielkim artystom. Oklaskiwała zresztą z niemniejszym zapałem pp.: Dominiaka, Małkowskiego, Maliszewskiego i Wesołowskiego. Teatr Polski znalazł bezspornie nową „złotą żyłę"...

Henryk Liński.







W ubiegły czwartek odbyła się premjera nowej opery p. t. „Jenufa", w której tytułową rolę kreowała z wielkiem powodzeniem p. Wanda Wermińska, (fot. Malarski).

Dzieci z całego świata

(Dokończenie ze str. 13-tej)

dzo poważnie, ale wyraz twarzy ma prawdziwie dziecinny. Bo jego dzieciństwo jest szczęśliwsze i dłuższe, niż dzieci upalnej Afryki, i pozostawia mu napewno najdroższy i najczystszy skarb człowieka: wspomnienia dziecinne.

A teraz przeniesiemy się na chwilę dalej, dalej na wschód, do krainy, której słoneczną nazwę znamy wszyscy dobrze, i do której czujemy dziwną, rzekłbyś, wrodzoną sympatję. To Japonja. Kraj wielkich tradycyj i prastarej kultury, kraj nieustraszonego męstwa i nieugiętej woli, walczących wytrwale z kataklizmami przyrody, i kraj kwiatów i wód przezroczych.

Dzieci japońskie, piękne i zgrabne jak żywe laleczki, miłe i świeże jak kwiaty, mają przeważnie minki bardzo poważne, a w spojrzeniu długiem i spokojnem posyłają nam pozdrowienie dziwne. Wydaje się, że te dzieci wiedzą daleko więcej, niż dzieci innych narodów, i że są już przygotowane do poważnych zadań życia. Trzeba zresztą zaznaczyć, że dzieci w Japonji są naogół bardzo rozumnie i starannie chowane, rychło przywykają do pracy i dzielnie pomagają swoim mateczkom. Podobnie jak w Chinach starsze dziewczynki noszą na plecach młodsze, pielęgnują maleńkie ogródki, które znajdują się przy każdym japońskim domku, i rosną naprawdę na podobieństwo kwiatów, zraszanych obficie ożywczą wodą i ogrzewanych radosnem, pogodnem słońcem.

A oto macie dzieci innego, potężnego, wielomiljonowego narodu, którego odrębna, głęboka wiedza coraz szerszą falą ogarnia Europę, który reprezentuje sobą najrozmaitsze dążenia i religje, baśniowe bogactwa i rażącą nędzę, najwyższe wzloty i podłe upadki, a przeto dzieci, które są także bardzo rozmaite.

Przypatrzcie się jednemu z ich przedstawicieli. Jest to syn bogatego kupca w bazarze w Peszawar, pewny siebie, dumny nawet, i zadowolony. Inne dzieci rozległych Indyj nie są ani tak zadowolone, ani tak bogato odziane. Ale są nierównie piękniejsze. Mówię o tych, które chowają się w potężnych Himalajach, są dziwnie pogodne i poważne, i mają najczystszy blask w oczach. Dziewczynki w tych okolicach noszą we włosach kwiaty na cześć bogów. Jest to zwyczaj zaiste wzruszający. Dzieci znowu innych okolic noszą różne ozdoby w uszach i na szyjach i są jakby przedwcześnie dojrzałe. Biorą one, podobnie jak w Japonji, udział w świętach religijnych, i są naogół poddane ustalonym od wieków tradycjom rodzinnym. Jasność i pogoda ich dzieciństwa jest tu, w stopniu znacznie wyższym niż w innych krajach, zależna od zamożności i stanowiska rodziców.

Zupełnie inaczej „niż wszędzie" jest w osławionych Sowietach, w tym kraju „wszelkich możliwości" i rozpaczliwej dziś nędzy dziecięcej. Wielcy „reformatorzy", którzy „zgniły Zachód" rozumu chcą nauczyć, już w roku 1920 zdecydowali, że rodzina, matka, ojciec, rodzeństwo, dom wspólny i t. p. to wszystko są tylko „burżuazyjne przesądy", że dzieci może wychowywać państwo, i że to wychowanie należy rozpoczynać od zabijania w dziecku nietylko wszelkich uczuć przywiązania rodzinnego, lecz także wszystkich instynktów dobra i sumienia. Pozakładano t. zw. państwowe ochronki i przytułki, w których panuje nędza i niesłychane zepsucie obyczajów. To też o dzieciach Sowietów nic wesołego dziś powiedzieć nie można. Są one biedne, bardzo biedne. Nauczyły się kraść, oszukiwać, bić słabszych, i tysiącami, tysiącami giną od wstrętnych chorób, z głodu, z wycieńczenia. Tysiącami też włóczą się po ulicach miast, jak bezdomne psy, i żyją i umierają jak psy. Nie przeszkadza to jednak urzędowej propagandzie ex - Rosji, która wychwala sowieckie szkółki i ochronki, osiągając w swem kłamstwie nieprześcignione szczyty bezczelności.

Lecz na pożegnanie chcę Wam dać jeszcze obrazek słoneczny. Jesteśmy na brzegu morza, ślicznego, pogodnego morza. Lipcowe słońce już zachodzi. Złocą się w jego ukośnych promieniach nadbrzeżne skały i wątłe drzewa. Na brzegu oczekują na powrót ojca - rybaka jasnowłose, zadumane dzieci. Najstarsza, dziewięcioletnia dziewczynka trzyma na ręku dużą, niezgrabną lalkę. Lecz nie bawi się i nie uśmiecha. W jej czystych, niebieskich oczach, śni nie-dziecinne, głębokie zadumanie. Uparcie patrzy na morze, cierpliwie czeka. Nagle zrywa się. Złota radość żywym, serdecznym blaskiem napełnia jej źrenice. Upuszcza swoją niezgrabną lalkę, klaszcze w ręce, woła:

— Tatuś, tatuś wraca!

I po chwili strudzone ręce szwedzkiego rybaka pieszczą łagodnie złotowłosą główkę dziewczęcia.

Prawda, moje dzieci, jakto dobrze mieć tatusia i mamusię?

Wiktor Przecławski.

PROGRAMY

Teatry

WIELKI.
Dn. 30. I. „Wesele Figara"
Dn. 31. I. „Megae i Szecherezada"
Dn. 1.II. „Jenufa".
Dn. 2.II. „Bal Maskowy"
Dn. 3.II. przedstawienie zawieszone.

NARODOWY.
Codziennie „Bal w Obłokach".

LETNI.
Codziennie „Książe Małżonek"

NOWY.
Codziennie „Magja"

POLSKI.
Codziennie „Rywale"

MAŁY.
Codziennie „Wilki w nocy"

MORSKIE OKO.
Codziennie wspaniała rewja p .t. „Gwiazdy Warszawy"

QUI PRO QUO.
Codziennie rewja p. t. „Dokoła Bartel"

MUSIC-HALL „ORPHEUM".
Codziennie dwa przedstawienia. II program.

CYRK.
Codziennie walki francuskie.

Stronę tytułową i układy fotograficzne projektował Jerzy Radlicz.



Znudzenie kancelistki, świadczące o stanie depresji nerwowej.



Z pośród różnych zawodów praca na roli daje może najwięcej radości i zdrowia.

Zawód i zdrowie

Zagadnienie, czy i jak dalece zależnem jest zdrowie jednostki od sprawowanego przez nią zawodu, oddawna paląca i aktualna, jest już dziś częściowo rozwiązane a wyniki badań w tym kierunku opierają się na coraz pewniejszych podstawach i doświadczeniach.

Więcej nawet; współczesna wiedza doszła już do wniosku, że zdrowie człowieka od tylu przecież skomplikowanych zależne przyczyn, jest jednak głównie zależne i związane z zawodem jego, ergo, wszelkie inne przyczyny zaledwo nieznaczną odgrywają rolę.



Najnieszczęśliwszy z zawodów — kelnerski.

Najlepszym pono zawodem jest zawód... duchownych. Słudzy Kościoła prowadzą przeważnie życie umiarkowane i *uregulowane*, a te dwie zalety żywota dają im jednostajnie dobry humor i zdrowie.

Badania wykazują, że na każdych 50 chorych, 14 padło jedynie ofiarą swego zawodu. Wynika stąd, że wybór zawodu jest sprawą nietylko ważną, ale i bardzo trudną.

Zawodem dość szczęśliwym i sprzyjającym zdrowiu jest zawód rolniczy. Ustawiczne niemal przebywanie na świeżem powietrzu, ruch, prosta, zdrowa strawa, godziny pracy dostosowane do godzin dnia — wszystko to sprawia, że organizm rolnika żyje *prawidłowo*, okazując niezwykłą odporność na wszelkie choroby, i drwiąc sobie z tych przygód, które zwykłemu mieszczuchowi grożą utratą zdrowia. W stosunku do księży (100) rolników umiera więcej (126), następnie idą szewcy (166), drukarze (193), introligatorzy (210) piekarze (około 200) i robotnicy różnych fachów (około 200). Śmiertelność robotników pracujących w zamkniętych lokalach jest większa (216), rozpaczliwą zaś cyfrę dają kelnerzy (387).

Jeśli teraz weźmiemy pod uwagę zawody inne, nie znajdziemy, niestety, cyfr lepszych. Zawód urzędniczy ma cyfrę śmiertelności wyższą, niż szewcy (a więc ponad 166); a szczególniej cierpią tu kobiety. Kancelistki wszelkiego autoramentu, buchalterzy i t. p zapadają często na choroby nerwowe i psychiczne, a fakty samobójstwa w sferze urzędniczej notowane są poprostu codziennie. Na ten stan rzeczywiście nader groźny zwrócono uwagę w Ameryce, i pomyślano już o środkach zaradczych. Sporządzono tam odpowiednie przepisy hygjeny pracy, zastosowano cały szereg nowoczesnych sposobów. Nowe biura mają sale duże, wysokie, pełne światła i powietrza. W godzinach pracy urządza się t. zw. przerwy wypoczynkowe, w niektórych wielkich biurach są już nawet sale sportu i gimnastyki. Podobne urządzenia zaczynają się już pojawiać w Anglji i w Niemczech. Jedynie u nas na hygjenę pracy nikt dotąd nie zwrócił uwagi. Niema także statystyki śmiertelności. Ale to może i lepiej. Zdaje się bowiem, że statystyka ta wykazałaby niezbicie, że ludzi t. zw. inteligencji wymiera u nas znacznie więcej, niż członków t. zw. nieszczęśliwego proletarjatu.

W. P.



Zdrowiej jest być proletarjuszem, niźli „inteligentem".

Z jedwabną nicią

Wątła i subtelna nitka jedwabna posiada swoją historję, starą i bujną, jak dzieje najmożniejszych rodów i państw. Z mrocznej dali snuje się jej początek. Z historją Aleksandra Macedońskiego przedostaje się do kronik, zna ją Pliniusz, wspominający o „tkaninach, nieprzystojnych mężom". Rzymianki hodują jedwab i w starożytnej Romie uchodzi on za droższy w cenie od złota. Zniewieściałemu Kaliguli nadają złośliwy przydomek „Sericatus" — jedwabny—jednakże Heliogabal lubuje się w jedwabnych szatach i innych znać nie chce.

Tkaniny jedwabne sprowadzano wówczas ze Wschodu, a handlem zajmowali się Fenicjanie i Persowie, wagą złota każący sobie opłacać swe pośrednictwo. Bo aż w dalekich, tajemniczych Chinach tkano te cudowne, miękkie materjały, będące tam znane już od sześciu tysięcy lat! Ale synowie Państwa Niebieskiego zazdrośnie strzegli swej tajemniczej przędzy i sprzedawali tylko gotowe tkaniny i to w ograniczonej ilości, określonej specjalnemi prawami. Dopiero później zaczynają sprzedawać i przędzę, wywożoną do Aleksandrji, gdzie ją tkano, farbowano zaś w Tyrze i Sydonie.

Przepych i wspaniałość Bizancjum po przeniesieniu tam stolicy imperjum rzymskiego, nie godzi się z surowością płótna lnianego i szorstkością wełny. W pałacach pojawiają się zasłony jedwabne, arystokracja musi mieć szaty z jedwabiu! Koszule, tuniki, przepaski wielkich pań i kurtyzan bizantyńskich są, oczywiście, też jedwabne. Konstantyn Wielki otacza specjalną pieczą fabryki i farbiarnie tych cennych tkanin, doprowadzając je do świetnego rozwoju. Dopiero po zmonopolizowaniu fabryk przez cesarza Justynjana, zaczynają powoli upadać

Hodowlę jedwabników w Europie zawdzięczamy greckim mnichom, którzy (w piątym wieku po Narodzeniu Chrystusa) przynieśli z Serindu nad Indusem w swych wydrążonych laskach pielgrzymich nasienie drzewa morwowego i jaja jedwabników, ucząc naród grecki, jak należy hodować te pożyteczne motyle, snujące kosztowną przędzę. Powoli rozpowszechnia się ich hodowla nad brzegami morza Śródziemnego, jedwab tanieje i zyskuje dostęp do coraz to dalszych krain, budząc wszędzie zachwyty i pożądanie. Nietylko w płci pięknej: jest on uprzywiljowanym materjałem na ubranie władców świata ówczesnego, a jedwabna przędza, przetykana złotą nicią bywa najpiękniejszym darem dla monarchy. Poeci ówcześni na Wschodzie poświęcają szatom jedwabnym płomienne strofy, przypisując im ponadto czarowną moc wzbudzania miłości. Ale też ówczesne tkaniny, dzięki doskonałości przędzy, technicznym udoskonaleniom tkactwa i farbowania rozlicznemi barwnikami, były poprostu niezniszczalne, odkryte w grobowcach.

Ten rozkwit jedwabnictwa w Europie wywołuje zazdrość sąsiadów azjatyckich. Persowie uprowadzają tkaczy greckich, by u siebie założyć tkalnie i farbiarnie i po krwawych walkach w państwie perskiem dynastji Gassaindów rozpowszechnia się hodowla jedwabników. Tkacze snują cienkie nici, służące do wyrobu szat i kobierców budzących zachwyt współczesnych i dzisiejszych znawców

W Europie natomiast stosunki polityczne nie sprzyjają rozwojowi jedwabnictwa. Nadeszła era wielkiej wędrówki narodów, niszczących cywilizację i przemysł. Dopiero Maurowie, osiedlając się na wyspach morza Śródziemnego i w Hiszpanji, zaczynają powoli wprowadzać kulturę jedwabników. Powstają fabryki wieczystych brokatów, zwanych „Sarassines", dostarczających tego upragnionego przedmiotu zbytku na dwory panujących i do rąk bogatych kupców.

Bo dziwny urok ma w sobie lśniąca nić jedwabna! Z przędzy tej miękkiej snuły pajęczyny i haftowały nią misterne wzory niewiasty Średniowiecza, piękne księżniczki i kasztelanki, siedzące z robotą we wnękach ostrołukowych okien, pochylone nad głową pazia złotowłosego, lub wpatrzone w dal, skąd miał nadjechać tęsknie oczekiwany małżonek. Rzadko ich smukłe paluszki pracowały nad siatką misterną, przetykaną perłami i złotem, służącą do ozdoby frywolnej. Bogu, służbie Bożej przeznaczono te ornaty, kapy, obrusy i serwety, pokryte subtelnym rysunkiem wzorzystych linij, kwiatów i emblematów świętych. W szaty jedwabne ubierał się król na tronie i ksiądz przy ołtarzu i szatki jedwabne przywoził z wypraw dalekich pan swej wyczekującej małżonce.

Do tej wątłej, cieniutkiej nitki przywarła krew i chodził w ślad za nią mord i ogień. Raubritter czyhał w lesie, w wąwozach i u dróg rozstajnych na kupca, wiozącego ten pożądany towar. Jedwabne tkaniny były wspaniałym darem ach, jakże często krwawym!—wymienianym na znak przyjaźni, sztukami jedwabiu płacono nawet okup i odszkodowania wojenne.

W epoce odrodzenia jedwab staje się ogólnie znany.

Zbytek w ubraniu ogarnia coraz szersze sfery, byle jaka bogata mieszczka chce mieć suknię „Ejońską" lub „grodeturową", jak jaka margrabina lub księżna. Więc we Francji i w Niemczech, potem w Polsce wydają edykty, ograniczające prawo noszenia jedwabiu tylko dla sfer wyższych, szlachetnego rodu...

A dziś? Demokratyzacja mody pozwala nosić jedwab wszystkim. Każdy mężczyzna musi mieć jedwabny krawat, każda kobieta przynajmniej jedwabne pończochy.

Demokratyzacja jedwabiu! Z pogardą patrzy na nią szary motylek, „Bombyx mori", snujący swą nić w złocistym kokonie. On wie, co warte są te „demokratyczne" jedwabie! Wyrabiają je fabryki w wielkich miastach z rozmaitych przetworów, z celulozy, z bawełny strzelniczej, poddawanej rozmaitym zabiegom chemicznym. Barwny, połyskliwy, lśniący. Ale krótki jest jego żywot.

Nie posiada też i innych zalet jedwabiu prawdziwego. Nie grzeje, nie przytula się pieszczotliwie do ciała. I nie wzbudza miłości. Jest złudą, iluzją tylko, dobrą na krótką chwilę.

A królewski jedwab, ulubieniec władców, kobiet i poetów, trwa zawsze

M. S.



Przemysł jedwabiu jest nader rozpowszechniony w Japonji. Fabryki w tym kraju zatrudniają przeważnie robotnice.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (3)

Streszczenie poprzednich numerów:

Grant Slattery, były członek ambasady amerykańskiej w Berlinie, spotyka, podczas swego pobytu w Monte-Carlo byłą swoją narzeczoną Gertrudę von Dirs, która wyszła za dyplomatę niemieckiego. Spotkanie ze strony Granta było nacechowane rezerwą. Gertruda dowiaduje się, że idzie na obiad do lorda Yeowil. Obiad w willi Miranda przechodzi w wesołym, beztroskim nastroju, poczem przy czarnej kawie lord Yeowil dowiaduje się ze zdziwieniem, że Slattery jest dokładnie poinformowany o jego działaniach politycznych.

ROZDZIAŁ III.

Po wyjeździe młodzieży willa Miranda pogrążyła się w niezmąconej ciszy. Lord Yeovil postanowił skorzystać z samotności i spędzić czas wedle swego upodobania. Zadzwonił na służącego, rozkazał rozniecić ogień na kominku, zamienił smoking na pyjamę i zastygł w kontemplacji, rozkoszując się dymem swej ulubionej fajki.

Od dziesięciu już dni przewodniczył w Nizzy na kongresie Wielkiego Traktatu Narodów, instytucji, utworzonej w Paryżu w roku 193..., a obecnie kierującej polityką światową. Stanowisko Ameryki, która dotychczas nie przystąpiła do prac Traktatu było przez długi czas przedmiotem sporów i dociekań. Bez wątpienia, były Stany Zjednoczone najbogatszym krajem na świecie i odosobnienie ich mogło pociągnąć za sobą poważne konsekwencje.

O dziwnej sytuacji Ameryki dumał teraz lord Yeovil, zwłaszcza, że jako były ambasador brytyjski w Waszyngtonie znał doskonale Amerykę. Miał głęboki szacunek dla Granta Slattery, o którego zdolnościach i nieposzlakowanej uczciwości przekonał się podczas jego urzędowania w ambasadzie londyńskiej. Był on wtedy, mimo młodego wieku, bezsprzecznym kandydatem na ambasadora i jego nagłe wycofanie się z dyplomacji wzbudziło powszechne zainteresowanie. Zdecydowany krok Granta pozostał dla wszystkich tajemnicą. Jednakże lord Yeovil znał istotną przyczynę i właśnie teraz, kiedy oddawał się zadumie, rozmyślał nad nader mądremi posunięciami swego młodego przyjaciela. Czyżby mała chmurka na horyzoncie politycznym i „zaburzenie atmosferyczne" mogły istotnie zaburzyć spokój, panujący od lat przeszło trzydziestu.

Nagle rozmyślania premjera zostały przerwane przez sygnał trąbki automobilowej i dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych. Spojrzał na zegar. Było już pięć po jedenastej. Nie rozumiał, kto mógł pojawić się o tak niezwykłej porze. W tej chwili wszedł do pokoju Andrews, stenotypista Artura.

— Przepraszam najmocniej, Ekscelencjo, czy mógłby pan premjer przyjąć barona Naga?

— Baron Naga, o tej porze?!...

— Przybył prosto z Nizzy — objaśniał Andrews. — Jego Ekscelencja nie dała mi żadnych objaśnień...

— Możesz go prosić, Andrews!

Baron Naga najwidoczniej nie składał wizyty ceremonjalnej. Świadczył o tem jego strój i zachowanie. Twarz jego wyrażała dziwną boleść, a oczy spoglądały mętnie z poza wielkich, rogowych okularów.

— Drogi baronie — rzekł Lord Yeovil — proszę spocząć. Sądzę, że nie przynosi mi pan złych wiadomości?

Ambasador japoński osunął się ciężko na fotel. Był niewątpliwie bardzo wzruszony lub cierpiący.

— Jestem panu wdzięczny, Lordzie Yeovil, że przyjął mnie pan o tej niezwykłej porze. Moja wizyta nie jest dziwactwem Azjaty. Przyszedłem oświadczyć panu przedewszystkiem, że mój władca, Jego Cesarska Mość Japońska przyjął moją rezygnację ze stanowiska ambasadora w Wielkiej Brytanji i przedstawiciela Japonji na obecnej konferencji. Nie będę już uczestniczył w jutrzejszem zebraniu.

— Na litość Boga! — zawołał Yeovil. — Cóż się stało? Jestem głęboko zmartwiony tą wiadomością...

— Jego Lordowska mość jest nader łaskawa. Baron Katina przybywa z Berlina, aby zająć moje stanowisko na konferencji, a hrabia Itashi zastąpi mnie chwilowo, o ile zaszłoby coś nagłego.

— Ależ, drogi baronie, nigdybym się tego nie spodziewał... Jeśli wolno zabrać mi głos w tej sprawie, to pozwolę sobie wyrazić moje największe ubolewanie z tego powodu. Z nikim nie pracowałem tak przyjemnie, jak z panem i niczyja praca nie była tak lojalna.

— Jestem niesłychanie wdzięczny jego Lordowskiej Mości za uznanie. Niestety jednak, w pewnej sprawie nie mogłem się zastosować do życzeń i polityki tych, którzy stoją w mej ojczyźnie u jej steru. Jest to dla mnie niesłychanie bolesne.

— Wierzę panu — rzekł premjer, spoglądając na dziwnie skurczoną twarz ambasadora. — Bardzo mnie pan zaniepokoił, gdyż przyznam, że nie przypuszczałem, iż z waszej strony mogą zajść tak wielkie komplikacje.

— Największa tragedja nastąpi teraz, mylordzie — oświadczył uroczyście baron Naga. — Mając wyłącznie dobro mego kraju na myśli, przyszedłem tu, do pana, aby zdradzić tajniki naszej polityki. Przyszedłem, aby wtajemniczyć pana w pewne sprawy, które pan, jako przewodniczący konferencji, wiedzieć musi. Kiedy już wszystko panu powiem, nigdy pan mnie więcej nie zobaczy. Robię to dla dobra i szczęścia Japonji, ale w chwili obecnej słowa moje są zdradą, którą muszę okupić.

Lord Yeovil był poważnie wzburzony niezwykłem zachowaniem się i oświadczeniem swego gościa.

— Drogi baronie... — zaczął.

Ambasador poruszył się na fotelu. Sine koła pod jego oczami stawały się coraz wyraźniejsze. Było widoczne, że dręczy go jakieś poważne cierpienie.

— Przepraszam stokrotnie... — przerwał słabym głosem — trudno mi mówić... ale nie myślałem, że działanie... Błagam pana... proszę mnie wysłuchać...

Lord Yeovil nalał pośpiesznie kieliszek brandy.

— Proszę to wypić, baronie i uspokoić się. Wie pan, że jestem w stosunku do pana gotów wszystko uczynić...

Lecz baron Naga zdawał się nie słyszeć. Dziwnie zaczął się krztusić. Nieludzkim wysiłkiem zdołał wycedzić tylko:

— Katina i Lutrecht... Ameryka... początek... Itashi wie... Boże mych przodków!...

Szklanka wypadła mu z rąk, a głowa osunęła się w tył. Lord Yeovil nacisnął dzwonek.

— Zatelefonuj po doktora — rzekł do kamerdynera, który pojawił się natychmiast we drzwiach. — Baron Naga zachorował!

Lecz baron Naga nie był już chory. Obaj — pan i sługa — domyślili się prawdy, patrząc na skurczoną twarz, leżącą na poduszce...

ROZDZIAŁ IV.

Pomiędzy barem a Klubem Sportowym znajduje się zaciszne, wewnętrzne połączenie, wymarzone miejsce dyskretnego flirtu. Grant, przechodząc do baru na kieliszek „whisky and soda" zauważył około północy, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, dwie pochylone ku sobie głowy — Gertrudy i Artura, przyczem twarz Artura wyrażała bezgraniczne uwielbienie dla swej towarzyszki. Obserwował ich przez chwilę, ze stale wzrastającem zdziwieniem. Nagle poczuł, że ktoś dotknął zlekka jego ramienia. Była to Zuzanna. Głos jej był pogodny i dźwięczny jak zwykle. Przybladła tylko nieco i była trochę zmęczona:

— To straszne, wszyscy mnie opuszczają, Artur, zdaje się, już także traci głowę...

— Głupiec! — zawyrokował Grant.

— To może za wiele — zakwestjonowała Zu

— Nie lubię, kiedy ktoś robi głupstwa. Może z łatwością wystrychnąć się na dudka. Księżna jest zamężną kobietą, niebezpieczną flirciarką, a ma przytem bardzo zazdrosnego męża — wtrącił Grant niezręcznie.

— Pójdziemy już chyba na dancing — rzekła Zuzanna, kierując się w stronę garderoby, — trzeba tylko uprzedzić Artura.

Grant podszedł do zapatrzonej w siebie pary. Gertruda przywitała go prowokacyjnym uśmieszkiem.

— Idziemy na dancing Limane, tak jak było umówione, czy wybiera się pan z nami? Już czas.

Artur spojrzał z niezadowoloną miną na zegarek. Była już rzeczywiście pierwsza po północy.

— Nie mam zamiaru uwolnić pana Artura — zaśmiała się Gertruda. — Bardzo go polubiłam, jest dla mnie znacznie milszy niż pan, Grant. Nie rozumiem powodu, dla którego pan się tak śpieszy i przerywa nam tak miłą pogawędkę.

— Ani ja — dodał Lymane. — Jeżeli chodzi o lady Zuzannę, to przecież pan opiekuje się nią dziś wieczorem. Zresztą przyjdę do was za pół godziny.

Grant skinął lekko na pożegnanie i odszedł. Na schodach dogonił gromadkę znajomych, do których przyłączył się przyjaciel Róży i Bobby'ego, Lancastrów.

— Artur popadł w ciężką pańszczyznę — oświadczył Grant. — Księżna trzyma go całkowicie w garści. Obiecał, że przyjdzie do nas niedługo, lecz wątpię, czy ujrzymy go jeszcze dziś wieczór.

— To niema dla nas żadnego znaczenia — rzekła Zuzanna, siadając w aucie obok Granta. — Młody Wheeler, który tak ładnie gra w tennisa, przyjaciel Lancastrów, zastąpi Artura jako tancerz.

Grant zatrzymał auto przed restauracją, z której dochodziły dźwięki jazzu. Towarzystwo zasiadło przy stoliku i zamówiło szampana i sandwicze. Pierwszy taniec Zuzanny należał do Granta i po chwili oboje znaleźli się w tłumie tańczących. Zuzanna odzyskała już wrodzony humor i policzki jej pokryły się świeżym, młodzieńczym rumieńcem.

— Jest pani w świetnej formie mimo ośmiu setów tennisa — zauważył Grant.

— Patrz pan — zaśmiała się Zu, — Bobby nie może ani przez chwilę znieść samotności i tańczy z „zawodową". Nie pochwalam jednak wcale jego wyboru i na jego miejscu wybrałabym tę małą, która siedzi obok naszego stolika.

Grant spojrzał niedbale w stronę tancerki, którą Zuzanna wskazywała oczyma.

Stopniowo budziła się w nim ciekawość dla tej dziewczyny. Była ciemna, mała i szczupła. Miała fascynujące, podłużne oczy, długie jedwabiste rzęsy i śliczny rysunek brwi. Jej czarne włosy mieniły się kasztanowatym odcieniem. Ubrana była w czarną taftę, pozbawioną wszelakich ozdób, nie miała na sobie nawet najskromniejszej biżuterji. Całość robiła wybitnie melancholijne wrażenie. Przez chwilę zetknęły się ich spojrzenia. Dziewczyna patrzała badawczo na Granta i dawała mu dyskretnie do zrozumienia, że zauważyła jego ciekawość.

— Dziwna istota — rzekł Grant do swej towarzyszki. — Ciekaw jestem bardzo, kto to jest.

— To jedna z zawodowych tancerek — odparła Zuzanna. — Widziałam ją tu ostatnio w poniedziałek i przedtem, raz jeszcze tydzień temu. Tańczyła cały czas z tym młodym japońskim hrabią, który przyjechał z delegacją japońską do Nizzy.

Grant wrócił z Zuzanną do zajmowanego przez nich stolika. Czas upływał szybko przy wesołej pogawędce i dużych ilościach szampana i oranżady. Młode towarzystwo ściągało na siebie uwagę publiczności dancingu, zwłaszcza wdzięczne postaci lady Yeovil i Róży Lancaster. Nagle Zuzanna dotknęła Granta ramieniem.

— Tragedja — wyszeptała. — Niech pan popatrzy na twarz tancerki, którą obserwowałam przed chwilą. Jej japoński hrabia wszedł w tej chwili na salę, w towarzystwie jakiejś kobiety.

W twarzy tancerki zaszła nagła, błyskawiczna zmiana. Wyraz obojętności znikł. Usta jej rozchyliły się, błysnęły dwa rzędy pięknych zębów, oczy zwęziły się jeszcze bardziej, brwi ściągnęły się gniewnie ku sobie. Lecz to wszystko trwało sekundę. Młoda dziewczyna zamieniła się znów w posąg zadumy. Na ukłon hrabiego i jego towarzyszki, tancerki z sąsiedniego café, odpowiedziała ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

— Wygląda jak zaczajony i niebezpieczny wróg — zauważył Grant.

W tej chwili podszedł do ich stolika Artur Lymane. Był bardzo zakłopotany i tłumaczył się dość niezręcznie i nieprzytomnie. Grant skorzystał z okoliczności, że może porozmawiać przez chwilę z Arturem sam na sam, gdyż reszta towarzystwa tańczyła, i zagadnął go:

— Lymanie, czy wolno mi być z panem zupełnie szczerym?

— Proszę.

— Nie wiem, czy to roztropne z pana strony, że podtrzymuje pan znajomość z księżną von Dirs?

— A czemuż nie, do licha?

— Jeżeli stawia pan kwestję w ten sposób, to lepiej będzie przerwać rozmowę.

— Wolę, żeby mi pan powiedział, o co właściwie chodzi — wtrącił Artur opryskliwie.

— Widzi pan, Arturze, jest pan młodszy ode mnie i dla tego pozwolę sobie na kilka uwag. Jest pan prywatnym sekretarzem premjera Wielkiej Brytanji i prezesa Międzynarodowej Konferencji. Sądzę, że afiszowanie się publiczne z księżną von Dirs, żoną wybitnego męża stanu niemieckiego nie jest dla pana zbyt wskazane.

Artur Lymane zapalił drżącą ręką papierosa.

— Cóż to ma do rzeczy, Grant, nie rozumiem pana. Słyszę tu tylko znów pana zwykłą piosenkę. Powinien pan był się urodzić czterdzieści lat temu. Jakaż jest obecnie różnica między Niemcami a innemi państwami? Czyż Wielki Międzynarodowy Traktat nie zbliżył wszystkich do siebie? Minęły czasy, kiedy księżne i baronowe niemieckie były tematem sensacyjno-szpiegowskiej literatury.

— A może i dziś jeszcze istnieją takie kobiety i to nie w romansach, a w rzeczywistości?

— Jest pan niepoprawnym pesymistą, Slattery, a ja ani trochę. Byłoby śmieszne, żebym miał przerywać moją znajomość z księżną von Dirs jedynie dla tego, że pan miał z nią kiedyś jakieś nieporozumienie...

Grant spojrzał na swego towarzysza ze zdziwieniem:

— Jeżeli pan stawia sprawę w ten sposób, to nie mam panu już nic więcej do powiedzenia. Żałuję, że rozpocząłem tę rozmowę i pozwolę sobie zaznaczyć raz jeszcze, że sytuacja nie jest tak optymistyczna, jak się panu wydaje, a jeżeli pozwoliłem sobie na zbytnią szczerość, to jedynie ze względu na pana dobro.

Wzburzony odszedł od stolika i nagle stało się z nim coś dziwnego i nieoczekiwanego.

Kiedy podniósł się z miejsca, dziewczyna z sąsiedniego stolika wstała również.

Zbliżyli się ku sobie i Grant zaczął z nią tańczyć bez słowa zaproszenia.

ROZDZIAŁ V.

— Jestem dobrem medjum, prawda? — zapytał Grant swą tancerkę po skończeniu tańca.

— Czemu? — spytała dziewczyna.

— Bo mam wrażenie, jakby pani nakazała mi bez słowa tańczyć ze sobą. Ma pani mi napewno coś do powiedzenia.

Nastąpił zagadkowy uśmiech. Dziewczyna wskazała oczami zaciszny kącik w barze:

— Tam usiądziemy, dobrze?

— To był zbyt krótki taniec — żalił się Grant.

— Pan istotnie świetnie tańczy, ale rozmowa z panem będzie dla mnie czemś znacznie ważniejszem.

Grant przyglądał jej się ze wzrastającem wciąż zainteresowaniem. Było coś pociągającego w jej spokojnem, a jednak stanowczem zachowaniu. Prostota cechowała nietylko jej zachowanie i ubiór, ale i całą postać. Nie było śladu różu na jej policzkach ani śladu karminu na twarzy. Zdawało się jakby zlekceważyła nawet puszek i puder.

— Czego pani sobie życzy? — zapytał, gdy usiedli w zacisznym zakątku baru — może szampana?

— Dziękuję bardzo, proszę tylko o herbatę i papierosy.

Granta uderzył jej świetny, angielski akcent i wytworność manier, niezwykła u małej tancereczki z dancingu. Zorjentował się odrazu, że nie była angielką.

— Mój ojciec był Lewantyńczykiem, a matka Japonką — rzekła, zauważywszy zainteresowanie swego towarzysza. Urodziłam się w Aleksandrji i umiem dobrze właściwie tylko dwie rzeczy: mówić wielcma językami i tańczyć. Ale... byłabym zapomniała: umiem również i mocno nienawidzieć.

— Ale chyba mnie pani nie znienawidzi? — uśmiechnął się Grant.

Obserwowała go z ciekawością i zdawało mu się przez chwilę, że spojrzenia ich spotkały się dopiero po raz pierwszy.

— Nie — zapewniła go. — Nigdy pana nie znienawidzę i nigdy pana nie będę kochała. Nie uczynię tego, choćby dla tego, że młoda panna, z którą pan siedzi przy stoliku, byłaby o mnie zazdrosna.

(D. c. n.)

Wśród książek

Stanisław Windakiewicz—Jan Kochanowski— Kraków, 1930, Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej (cykl: „Z historji i literatury"). Str. 198 + V + 2 nlb., z portretem J. Kochanowskiego.

W r. b. przypada 400-tna rocznica urodzin Jana Kochanowskiego, największego poety polskiego przed Mickiewiczem, tego, któremu Rej już po zapoznaniu się z pierwszym utworem („Czego chcesz od nas Panie za twe hoyne dary") natychmiast pierwszeństwo przyznał w znanym dwuwierszu:

„Temu w nauce dank przed sobą dawam
I pieśni bogini słowieńskiej oddawam".

Prac o Janie Kochanowskim mamy dość sporo. Niektóre z nich (szczególniej traktujące o jego poezji lirycznej) są wyczerpujące, i trudno już do nich dorzucić coś nowego. Można nawet powiedzieć, że Kochanowski ma już w literaturze ustalone oblicze i dokładnie określone znaczenie. Cały bowiem jest zawarty w dziełach przezeń pozostawionych. Co się zaś tyczy biografji, toć o zdobyciu nowych szczegółów mowy być już nie może, i trud nowej jakiejś monografji o autorze „Trenów" z konieczności ograniczyć się musi do lepszego lub gorszego komentarza jego dzieł.

A jednak praca tyle zasłużonego profesora, St. Windakiewicza przychodzi w samą porę i daje nam rzeczy nowe. Kochanowski, twierdzi prof. Windakiewicz, był w różnych czasach różny i nie miał rysów tak stałych, jakby to się zdawało. Jako pisarz programowy dążył zawsze do urzeczewistnienia swych ideałów artystycznych, i cały jego życiorys to wielkie pasmo nieprzerwanych trudów to cierpliwe dążenie na szczyty, uwieńczone wreszcie zwycięstwem. Tak więc oblicze poety jest wiecznie zmienne, pełne ruchu i zajmujących przeobrażeń, aż dopiero pod koniec życia ustala się klasyczna posągowość jego rysów. I oto za intuicyjne wyobrażenie pierwotne podstawia się zagadnienie środowisk, powstają nowe zagadnienia i nowe odpowiedzi na nie. Książka prof. Windakiewicza treściwie, jasno a z zapałem daje czytelnikowi piękny i prawdziwy portret poety, oświetlając na nowo jego prace i dorzucając wiele nowych spostrzeżeń i szczegółów.

*

Jeden z większych dzienników łotewskich „Latvijas Kareivis" rozpoczął obecnie druk w przekładzie łotewskim, rozrzuconych dotąd po pismach polskich, nowel Władysława Ludwika Everta, które mają następnie ukazać się w oddzielnem książkowem wydaniu .

Witold Bunikiewicz — Żywoty polskich djabłów — Warszawa — „Pionier".

Znany autor dramatyczny i wytworny poeta piękną i żywą prozą napisał tę jedyną w swoim rodzaju monografję, opartą na licznych klechdach i podaniach z różnych okolic Polski. Djabeł polski, w ujęciu autora, nie jest taki straszny, jak go malują, nie jest demonem, ani tajemniczą siłą, ot... jest poprostu wesołym psotnikiem, i to dość naiwnym i tchórzliwym, gdyż obrotny kmiotek łacno go oszuka, zaś gadatliwa, sroga „z widoku" kobieta zgoła precz przepędzi. To też żywoty tych djabłów obfitują w wesołe, a nawet romantyczne przygody, i książkę czyta się z niesłabnącem zaiteresowaniem, jak najlepszą powieść. Podkreślić również należy bogaty, wspaniały język tego dzieła i swoisty, czysto polski, szlachecki humor, który przesyca wszystkie niemal przygody i dzieje djabelskie.

Wydanie książki bardzo staranne.

Wiktor Przecławski.

TO TAMTO I OWO

„POŻERACZE WNĘTRZNOŚCI".

Nagół utarło się mniemanie, że człowiek żyjący na dalekiej północy, to istota wyłącznie mięsożerna. Mniemanie to jest do pewnego stopnia zupełnie słuszne, jeśli się zważy, że o ile w ciepłym klimacie hodowla soczystych roślin, smakowitych owoców i zbóż stanowi podstawę gospodarczą, o tyle na północy człowiek żyje przeważnie z hodowli bydła i z polowania. A jednak nawet Eskimosi poszukują uporczywie pokarmów roślinnych, czując poprostu podświadomie, jak wielkiem niebezpieczeństwem grozi organizmowi nadużywanie pokarmów, zawierających nadmiar białka.

Podczas ostatniego, t. zn. 7-go z rzędu międzynarodowego kongresu jaroszów, wygłosił dr. Ragnar Berg z Drezna ciekawy odczyt, w którym wiele miejsca poświęcił wegetarjanizmowi ludów północnych.

Pierwszą troską Eskimosa po zabiciu zwierza jest zatkanie śmiertelnej rany, aby jaknajmniej utracić cennej krwi. Dopiero po przyniesieniu odpowiedniej ilości naczyń otwiera się ranę, aby zebrać jaknajstaranniej krew. Następnie Eskimosi robią cięcie od krtani aż do wylotu kiszki oddechowej i wyjmują wszystkie wnętrzności. *Cała*, dla nas nieapetyczna, *zawartość* wnętrzności zostaje gruntownie przemieszana z krwią. Masą tą napełnia się kiszki, które się następnie wędzi. Zabieg ów polega w istocie rzeczy na tem, że wszystkie większe zwierzęta polarne, z małemi tylko wyjątkami, są roślinożerne. A więc i zawartość kiszek jest przeważnie roślinna. Eskimos posługuje się tą samą metodą co tygrys i inni drapieżnicy, które zdobyczy swej przedewszystkiem rozrywają brzuch i wyżerają wnętrzności.

Pewien znany myśliwy nazwał niedawno żartobliwie tygrysa „pośrednim jaroszem". Nawet najbardziej niebezpieczne niedźwiedzie, które zakosztowały już krwi żywią się zaraz po opuszczeniu zimowych leży wyłacznie korzonkami i młodemi pędami roślin. Jednem słowem poddają się prawidłowej kuracji wiosenno-wegetarjańskiej. A ileż razy mogliśmy zaobserwować, że nasze psy i koty objadają się poprostu trawą! Czynią to zazwyczaj po zbyt długim odżywianiu się mięsem. Pożerając więc trawę ratują swe zdrowie, słuchając instynktownie zbawiennych rad matki-przyrody.

Według wywodów dr. Berg'a, człowiek pierwotny był przeważnie jaroszem. Najpoważniejsi uczeni dowiedli, że istnieją prastare tradycje, odnoszące się do hodowli jarzyn, które przetrwały jeszcze jak to niedawno zaobserwowano na wysokich pastwiskach alpejskich i w Tatrach.

Nie jednem mięsem człowiek żyje, nawet wówczas, gdy jak Eskimos pożera wnętrzności.

Dr. E. S.



AEROPLAN W PRAKTYCE HANDLOWEJ

Jedna z firm, wyrabiających aeroplany w Ameryce, zadała sobie pracę zdobycia szczegółowych danych o lotnictwie w zastosowaniu do celów praktyki handlowej.

Okazało się, że na terytorjum Stanów Zjednoczonych istnieje obecnie 135 firm handlowych i przemysłowych, które używają samolotów dla celów handlowych.

Wszystkie aparaty, używane w tej dziedzinie są cztero, sześcio, lub ośmioosobowe, o jednym silniku.

Co do kategorji przedsiębiorstw, używających komunikacji powietrznej na pierwszem miejscu stoją towarzystwa naftowe, t. zw. „ekspresowe kompanje" (przewóz posyłek) i ajencje ogłoszenione. Potem dopiero idą uniwersalne magazyny, księgarnie i inne. Wogóle 45 różnych gałęzi przemysłu i handl posługuje się lokomocją powietrzną.

Koszt jej obliczają osoby zainteresowane na 25 centów za 1 milę angielską, włączając w tem amortyzację aparatów, pensję pilotów, asekurację i t. d.

Sfery zaangażowane w budowie aeroplanów wszystkiemi siłami dążą do spopularyzowania samolotu. Zdaniem ich trzy są przyczyny, przeszkadzające dotychczas szerokiemu rozpowszechnieniu się tego środka komunikacyjnego, a mianowicie: brak zaufania w znaczeniu bezpieczeństwa, wysoka cena aparatów i, wreszcie. niedostateczne zrozumienie usług, jakie może oddać handlowi samolot.

Znana firma „General Tire and Rubber Company" wielce zainteresowana w ożywieniu sprzedaży samolotów, wpadła ostatnio na pomysł zorganizowania kampanji na szeroką skalę.

Oto cały szereg lekkich aparatów, noszacych nazwę „Aristocrato", ma w ciągu roku oblecieć całe Stany Zjednoczone.

Poza stroną reklamową ekspedycja ma zebrać cenny materjał, dotyczący warunków atmosferycznych, miejsc lądowania, stosunków lokalnych i t. p. w różnych częściach olbrzymiego terytorium Stanów Zjednoczonych. Sam aparat „Aristocrat" jest maszyną trzyosobową, o silniku 110- konnym, zdolną do rozwinięcia szybkości 140 kilom. na godzinę przy pełnem obciążeniu około 1000 kilogramów. Tą drogą amerykanie mają nadzieję wprowadzić samolot tam, gdzie „zaśniedziałe" poglądy sprzyjają jeszcze utrzymaniu tak „starego" środka lokomocji, jakim są samochody. *Z. K.*

CZY OBEJDZIEMY SIĘ BEZ OKULARÓW?

Wielkie zainteresowanie wzbudzają ostatnio szkła t .zw. kontaktowe (samotrzymające się). zalecane już i dawniej przez lekarzy specjalistów w wyjątkowych wypadkach anomalji ocznych, a obecnie używane zamiast okularow. Szkła te są zupełnie niewidoczne. Wsunięte pod powieki trzymają się jedynie na skutek ucisku tychże. Przeciwko ich szerszemu zastosowaniu przemawiają: trudność zakładania tych szkieł. ich niezwykła łamliwość (są cieńsze od skorupki jaj) i bardzo wygórowana cena.

Artyści, którzy nie widzą dobrze bez szkieł i czują się przez to niepewnie na scenie. powitają zapewne z radością te niewidzialne okulary.

Konkurs spostrzegawczości



Do 12 charakterystycznych sylwetek na niniejszej stronie dopasować niżej podane imiona.

Z pośród trafnie nadesłanych odpowiedzi rozlosowana zostanie nagroda w wysokości

100 zł. *100 zł.*























Agata, Ada, Melańja, Frania, Wisia, Weronika, Izaak, Józek, Kleofas, Felek, Ryszard, Wawrzyniec

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

Ł.

ŁOTR.

Łotr, czyli „czarny charakter" to plaga niewinnych dziewcząt, których narzeczeni wyruszyli w dalekie kraje dla zdobycia uczciwego majątku. Łotr od wczesnego rana czyha na zjawienie się listonosza, poczem z szatańskim wyrazem na przebiegłej twarzy, ozdobionym małym czarnym wąsikiem, niszczy miłosne listy. Napróżno młoda dziewczyna zapytuje go trzykrotnie, czy nie odebrał listu od jej narzeczonego, łotr z niewinną miną zapewnia, że o niczem nie wie. Biedna dziewczyna martwi się i trapi, a łotr w swoim pokoju zaciera ręce z radości i knuje plan dalszych piekielnych machinacji. Oto po jakimś czasie przychodzi do nieszczęśliwego dziewczęcia, (którego posag oraz wdzięki pragnie zagarnąć dla siebie) i pokazuje jakiś skrawek papieru, twierdząc, że to depesza o nagłej śmierci narzeczonego, który zginął podczas eksplozji. Nie dość na tem, jeżeli przypadkiem narzeczony powraca w tym samym czasie, łotr wmawia najbezczelniej otaczającym, że to duch zmarłego przybył zakłócić ich spokój.

Na szczęście łotr nie zwycięża nigdy. Pod koniec filmu dosięga go zawsze sprawiedliwa, a ciężko karząca dłoń reżysera. Łotr ginie więc w pojedynku, ugodzony kulą w brzuch, gnije w kryminale, tarza się w rynsztoku, lub wyznaje wszystkie swe winy, poczem umiera w konwulsjach.



(fot. Metro, Fox Universal Starfilm).

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski. 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Spółka Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska"